Nr. 141. Lwów — Wtorek dnia 23 Czerwca. Rok 1903.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h, w Niemczech . . . . 3 „ — „, w innych Państwach . . 4 „ — „. Za zmianę adresu dopłaca się 40 „. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h., na prowincyi . . . . . . 12 h.
Numera z poprzednich dni po 20 h.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h.
W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo 4 h, tłustym garmondem „ „ 6 h, koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . . 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.
Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: św. Zenona B. Tymoteusza | Jutro: św. Jana Chrzc. Bartłomieja

Adres Redakcyi i Administracyi: **Lwów, ul. Sykstuska l. 45.**

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca o godz. 4 m. 5 | Zachód „ „ 7 m. 58

Długość dnia godzin 15 minut 53 | Przybyło dnia od wczoraj 0 min.

Wybory na Szląsku Górnym.

Gdyby sprawdzenie się smutnego proroctwa mogło cieszyć proroka, to górnoszląski obóz *Katolika* miałby prawo opiewać swój tryumf nad tak zwanymi „wszechpolakami“. Z niesłychaną butą, z łokciami, roztrącającymi wszystkich, z paszkwilem na ustach, zjawili się oni na Szląsku Górnym, odsądzili od patryotyzmu tamtejszych wytrawnych kierowników naszego ludu, który dopiero zaczął się budzić do narodowego życia, zawyrokowali, że obóz polsko-katolicki jest polskim tylko pozornie, naprawdę zaś spełnia służbę parobka u centrum, i w końcu dali logiczne z tych przesłanek hasło: „To jest ziemia odwiecznie polska, precz z niej wszyscy bez wyjątku Niemcy, a więc i katolicy, albowiem tu oni są naszymi wrogami, ponieważ nie należą do naszej narodowości, powinniśmy wybierać tylko Polaków! — jakich? — to wszystko jedno, choćby zupełnie ludowi nieznanych, choćby zgoła niezasłużonych, byle Polaków.“

Napróżno nasi doświadczeni kierownicy ludu, ci, którzy go obudzili z pięciowiekowego snu pod niemiecką szlafmycą, gorliwie przekonywali rączych wszechpolaków, że na nic się nie zda najpiękniejsza teorya, gdy twarde warunki życia nie pozwalają jej zastosować; naprózno dowodzili, że lud górnoszląski jest przedewszystkiem katolickim, a polskim dopiero się staje i teraz jeszcze jest nim zaledwie o tyle, o ile widzi, że protestantyzm tak samo nastaje na Kościół, jak na polskość, i że gdyby nie było tej zbieżności, to jeszcze po dawnemu mówiłby — jak mówił do ś. p. xiędza Antoniewicza: „Prosimy nie nazywać nas Polakami, bo to obrażliwa nazwa.“ Nadaremnie ten obóz polsko-katolicki wykazywał, że nietylko te religijne względy, ale także ekonomiczne nie pozwalają kłócić ludu z katolickimi Niemcami, którzy są właścicielami folwarków, kopalń, fabryk, zgoła wszystkiego, co daje zarobek polskiemu robotnikowi. Wszechpolacy odpowiadali, że lud stanowi większość; że w katowickim okręgu, w każdym tysiącu ludności, jest przeszło 800 Polaków, a w gliwickim, lublinieckim i bytomskim przeszło 700. „Nie Polacy to są — przeczono im z obozu polsko-katolickiego — lecz dopiero jeszcze Górnoszlązacy, to znaczy ludzie, którym katolicy Niemcy bliżsi są, aniżeli Polacy. Ten lud jest dopiero na drodze do narodowej świadomości, a po tej drodze my go prowadzimy powoli, ostrożnie, jak ślepców, i w tem pomaga nam centrum, chociaż nie z życzliwości dla nas i naszych ideałów, ale z przekonania, że gdyby się temu ludowi odebrało jego mowę, to onby się rzucił w ramiona socyalizmu. Nie przeszkadzajcie tej robocie dla przyszłości, nie chciejcie żniwa już teraz, bo plonu jeszcze nie ma, raczej sami stańcie obok nas do roboty, jako oracze!“

Tak wszechpolaków błagał obóz polsko-katolicki, ale oni krzyknęli: „Wy tu fabrykujecie jakąś nową narodowość górnoszląską! Jesteście zdrajcy! Precz!“

I rozwinęli wszechpolacy agitacyę za wybieraniem samych jeno Polaków. Lecz jakich? Centrum ułożyło się z polsko-katolickim obozem, że sześć mandatów weźmie sobie, a trzy odda Polakom, na których samo będzie głosowało, wszelako pod warunkiem, że ci wybrańcy wstąpią nie do Koła polskiego, lecz do stronnictwa centrum, przyczem jednak w sprawach narodowych będą mogli zawsze głosować z naszem Kołem, a oprócz tego będą niby polską ambasadą w centrum. Z owych trzech kandydatów kompromisowych major Szmula i robotnik Królik są zdecydowanymi Polakami, a zamożny włościanin Letocha tworzy czysty typ Górnoszlązaka, ciążącego bardziej ku Niemcom, niż do nas. Wszechpolacy odrzucili tych kandydatów, jako splamionych niemiecką na nich zgodą; postawili swoich, samych panów redaktorów niemowlęcych jeszcze pisemek wszechpolskich, a więc Korfantego, który stanął przeciw Letosze, Siemianowskiego, który walczył o mandat z hr. Ballestremem, dra Stęślickiego, Kowalczyka i innych. Kowalczyk walczył przynajmniej z centrowcem Faltinem i może jeszcze przejdzie przy wyborach ściślejszych, ale dr. Stęślicki odebrał dużo głosów Polakowi Królikowi, który wskutek tego także stanie do wyboru ściślejszego, ale już będzie miał przeciwko sobie wszystkich Niemców: junkrów, liberałów, postępowców i socyalistów, którzy podczas wyborów głównych głosowali na swych kandydatów.

Centrum, obrażone zwalczaniem ich wodza na Szląsku Ballestrema, zerwało układ co do Królika, zatrzymało zaś Szmulę i Letochę, bo pierwszego nie mogłoby pokonać, a drugiego uważa za swego.

Przyszły nareszcie wybory. Nie przeszedł w nich żaden wszechpolski kandydat. Zamiast dawanych nam przez centrum trzech mandatów, mamy tylko jeden majora Szmuli. W ognisku agitacyi wszechpolskiej, w okręgu Katowice-Zabrze, otrzymał Letocha 19.719, a redaktor Korfanty 11.519 głosów, lecz ponieważ po kilka tysięcy głosów otrzymali inni niemieccy kandydaci, przeto będzie wybór ściślejszy. Hr. Ballestrem otrzymał w gliwicko-lublinieckiem — (tam, gdzie na każdy 1000 mieszkańców jest 700 z górą Polaków) — 12.488 głosów, a przeciwnik jego wszechpolak Siemianowski tylko 7.642, ponieważ zaś socyalista niemiecki otrzymał zaledwie 2.881, przeto utrzymał się Ballestrem. W Królewskiej Hucie padło na Polaka tylko 808, w Bytomiu zaledwie 195, a w innych okręgach jeszcze mniej głosów. Lecz w tarnogórskim okręgu, gdzie wszechpolak Stęślicki zaszkodził Polakowi Królikowi, wybory się powtórzą, ale już tylko między Królikiem a socyalistą Winterem.

Więc wszechpolska klapa jest zupełna, ale także ogromna nasza strata, bo już nietylko napewne straciliśmy jeden mandat, co samo przez się drobnostka, ale straciliśmy przyjaźń centrum, mimowoli zwolniliśmy ten obóz od obowiązku popierania Koła i sami jesteśmy trwale rozdwojeni, bo między polsko-katolickim a wszechpolskim obozami leży przepaść, wykopana wszechpolskim paszkwilem. Centrum składa się z ludzi zacnych, którzy z pewnością nie będą na nas się mścili, ale owo rozdwojenie nasze na Szląsku Górnym — to dopiero nieszczęście i ból!

A jak te wszechpolskie polityczne dzieci hałasowały, jak się odgrażały, że zdmuchną przed centrum wszystkie mandaty! Teraz centrum w twarz im się zaśmieje i powie: „Nie każdy kąsa, kto wąsem trząsa“. Gdybyż nie stało się nic więcej! Lecz się stanie to, że wszystkie śruby germanizacyjne będą w ruch puszczone, a to na Szląsku co innego, niż w Poznańskiem, gdzie żyje polska tradycya, pamięć zgwałconej przeszłości, gdzie jest jeszcze dużo siły i gdzie ziemia odradza, jak Anteusza.

Wszechpolacy stawiali i w Berlinie swego kandydata i w Nadrenii. Tam również było to jedynie — trząsanie wąsami. Teraz oni prawią, że sprawił im tę niespodziankę znany list pasterski X. kardynała Koppa. Gdyby nie ten list, z pewnościąby zwyciężyli! Niepoprawne polityczne dzieci! Za ów list chcą na X. kardynała Koppa wnieść skargę do Papieża i dodają, że jeśli skarga nie poskutkuje, — no! to już oni wiedzą, co zrobią! „Ach, jak te zuchy wąsami ścinają muchy!“.... Lecz może już dość tego kompromitowania narodu naszego!

Król Piotr I.

We środę Serbia powita nowego króla, który w przejeździe nie zatrzyma się ani w Wiedniu, ani w Peszcie. Po cóż mu wstępować do tych stolic, skoro nie może wypełnić „pierwszego czynu“, zaleconego mu do spełnienia zarówno przez Cesarza Franciszka Józefa, jak przez rząd rosyjski? Cesarski telegram, wysłany do Genewy w odpowiedź na depeszę Piotra I, brzmiał dosłownie tak: „Głęboko wzruszony wiadomością o powołaniu pana na tron serbski, pośpieszam upewnić Waszą królewską Mość o mojej szczerej sympatyi. Oby panowanie W. król. Mości było długie i szczęśliwe i oby W. Mość spełniła swą misyę, przywróciła spokój nieszczęśliwemu krajowi, rozdzieranemu przez lat wiele wewnętrznemi waśniami, przywróciła mu szacunek, podźwignęła go ze stanu ostatecznego rozkładu, który się odsłonił w ostatnich czasach przed oczami cywilizowanego świata zbrodnią jedyną w swoim rodzaju i potępioną przez wszystkich. Przy spełnianiu takiej misyi może W. kr. Mość liczyć zawsze na moje poparcie i być przekonaną, że mi niezmiennie leżeć będzie na sercu utrzymanie i wzmocnienie węzłów przyjaźni sąsiedzkiej, jaka oddawna łączy nasze kraje“. — Co w tym telegramie powiedziano między wierszami, to komunikat rządu rosyjskiego, ogłoszony w *Prawitielstwiennym Wiestniku*, wyraził bez ogródek: „Mordercy króla Aleksandra i Dragi muszą być ukarani!“ — To samo w angielskiej izbie oświadczył minister spraw zagranicznych lord Lansdowne, który rzekł: „Nie możemy utrzymywać dyplomatycznych stosunków z ludźmi, na których pada cień ohydnej zbrodni. Niech niewinni potępieniem morderców oczyszczą się z wszelkich podejrzeń. Zanim to nastąpi, nasz poseł będzie się tylko opiekował naszymi obywatelami w Serbii, unikając innych stosunków z tamtejszym rządem. I dlatego poseł nasz otrzymał polecenie usunąć się od uroczystości z powodu wstąpienia na tron księcia Karageorgewicza“. — Zapewniają pisma rzymskie, że również król włoski zalecił Piotrowi I oddanie pod sąd morderców. Słowem wszyscy, na których Serbii zależy, zażądali ukarania zbrodniarzy.

A jednak Piotr I nie może wykonać tego „pierwszego czynu“ — i nie wykona go. Już oświadczył w Genewie, że „sprawa mordu w konaku, to rzecz wewnętrzno-serbska, do której nikt za granicą nie może się mieszać“. A potem nowy król dodał: „Trzeba pamiętać, że skupszczyna już niepowrotnie załatwiła tę sprawę: uchwaliła ona podziękowanie armii za czyn, który nazwała patryotycznym“.

Tego samego zdania są najwybitniejsi ludzie w Serbii, senatorowie Welimirowicz i Lotic, dyplomaci Christic i Simic, posłowie Danic, Ribarac, Mikulic, Petrowic i inni. W piątek wieczorem przejeżdżali oni przez Wiedeń do Genewy, jako delegaci skupszczyny, wiozący Piotrowi I akt elekcyjny. Wszyscy oni zgodnie oświadczyli, że: „trzeba było mordem zakończyć panowanie Aleksandra Obrenowicza, bo innego wyjścia nie było. Na 25-ty czerwca przygotował on nowy zamach stanu i ułożył listę osób, które miały być rozstrzelane. Znajdowało się na niej 70 nazwisk, a między niemi były nazwiska Awakumowicza, Welimirowicza, Wuicza, Żiwkowicza, słowem wszystkich wybitnych osób. Po tym walnym mordzie miały się zacząć rządy despotyczne, a Nikodem Luniewicz byłby ogłoszony następcą tronu. Armia uratowała ojczyznę. Spełniono mord, ale konieczny jak fatum. Dziś Serbia jest zgodna i spokojna. Mamyż ją znowu rozdzierać i zakłócić aż do wojny domowej, aż do bitwy z pułkami, które przecież nie poddadzą się żadnemu sądowi, bo mają za sobą lud i skupszczynę. Szaleństwem byłoby wznawiać tę sprawę“.

Tak się na to zapatrują Serbowie, wręcz przeciwnie, aniżeli mocarstwa, między niemi zaś jest Rosya, o której mówią, że woli widzieć na belgradzkim tronie Mirkę, drugiego syna księcia czarnogórskiego. Jest to więc sprawa, o którą nowy król może się potknąć przy lada niezręczności.

List do Redakcyi.

(*Miłosierdzie a sprawiedliwość.*)

Od pewnego obywatela z prowincyi otrzymaliśmy następujące trafne uwagi:

Rozluźnienie stosunków społecznych przybiera u nas niestety coraz większe rozmiary i jeżeli stosunki pod tym względem rozwijać się będą nadal w dotychczasowem tempie, to doprawdy aż lęk zbiera na myśl, dokąd zajdziemy za lat dziesięć lub dwadzieścia. Na każdym kroku widzimy już dziś pomięszanie pojęć o prawach i obowiązkach — poczucie obowiązku zanika coraz bardziej, zwłaszcza wśród warstw mniej oświeconych, natomiast wytwarza się w nich niesłychanie wygórowane, wręcz chorobliwe, pojęcie o prawach, jakie im wrzekomo przysługują. Zapomogi uchwalane przez ciała prawodawcze lub korporacye w razie nieurodzaju, powodzi lub pogorzeli, ofiary ciał zbiorowych i jednostek, wypływające jedynie z pięknych pobudek miłości bliźniego, nawet jałmużny prywatne — przyjmowane bywają przez obdarowanych bez cienia wdzięczności, jako coś, co im się należy — ba, z reguły niemal z podejrzeniem, że zostali przytem oszukani, bo im się właściwie więcej należało. Albo jak niewypowiedzianie przykre są dziś stosunki między wszelkiego rodzaju robotnikami a ich pracodawcami. Ne pracodawcę zwalają się same tylko obowiązki, robotnik zaś chce tylko korzystać ze swych praw i rozszerzać ich zakres, o tem jednak, że tym prawom jego odpowiadają także obowiązki względem pracodawcy, wcale nie myśli, a, co prawda, nikt mu tego zresztą niestety nie przypomina, przeciwnie, w razie jakiegokolwiek konfliktu między pracodawcą a robotnikiem ten ostatni traktowany jest z taką pobłażliwością, że ostatecznie musi mu się w głowie przewrócić, a w umyśle jego rodzi się to wygodne dlań przekonanie, iż nawet źle robić jest jego prawem. Niech dziś robotnik przez swą niesumienność zrujnuje nawet swego chlebodawcę, a może być pewnym, że nic mu się nie stanie, jeżeli tylko czyn jego nie jest tego rodzaju, że postanowienia kodeksu karnego dadzą się doń — jak to mówią — „żywcem“ przystosować. Jeżeli zaś nawet popełni jakiś czyn karygodny, podpadający najwyraźniej pod pojęcie kradzieży, sprzeniewierzenia, złośliwego uszkodzenia cudzej własności i t. p., to stanie mu się za to tak niewiele, że ta kara, jaką otrzyma, nie jest dlań żadnym postrachem. Cóż sobie robi np. nieuczciwy sługa z tego, gdy za karę za to, iż dobrał się do pańskiej szuflady i ukradł z niej pieniądze, otrzyma cztery lub sześć miesięcy więzienia, — to go z pewnością nie odstraszy od ponowienia próby okradzenia swego chlebodawcy przy nadarzającej się sposobności, tak samo, jak rok lub półtora roku więzienia za podpalenie nie odstraszy tych, którzy lubią podkładać ogień pod cudzą strzechę, ani też kilka tygodni aresztu za fałszywe bankructwo nie odstraszy niesumiennych kupców od popełniania ciągle fałszywych bankructw.

A niestety, w sądach naszych, powiedzmy to sobie otwarcie, wyrobiła się dziwna praktyka jak najłagodniejszego stosowania kar, przepisanych kodeksem. To, co ustawodawca przewidział w razie wypadków, zasługujących na wyjątkowe uwzględnienie, a mianowicie, że sędzia może tam, gdzie kodeks przepisuje pięć do dziesięciu lat więzienia, zejść poniżej najniższego wymiaru kary i wymierzyć przy uwzględnieniu nadzwyczajnych okoliczności łagodzących, tylko rok lub dwa — to tedy wyjątkowe prawo łagodzenia kary staje się w naszej praktyce sądowej niemal regułą — i z pewnością w dziewięciu wypadkach na dziesięć robi u nas sędzia użytek z tego tylko dla nadzwyczajnych wypadków ustanowionego prawa wyjątkowego łagodzenia kary. Pojmuję ja to dobrze, że sędziowie nasi z najszlachetniejszych pobudek robią tak wydatny użytek z tego przysługującego im prawa, a mianowicie, że myślą, iż może przecie przestępca po tak łagodnym wyroku poprawi się i będzie prowadził inne życie. Rachuba jednak taka najczęściej zawodzi: miłosierdzie sędziowskie niestety nie przynosi spodziewanych owoców, a moralność w społeczeństwie zamiast podnosić się — upada.

Jestem tego pewny, że gdyby ktoś zadał sobie trudu sporządzania tego rodzaju statystycznych wykazów kryminalistycznych, w których byłoby uwidocznione, jakie kary dyktują sądy galicyjskie przestępcom, a jakie sądy zachodnich prowincyj austryackich, to okazałoby się z nich, że przy tych samych zresztą ustawach wydają sądy wiedeńskie, dolno- i górno-austryackie, styryjskie, tyrolskie, wyroki znacznie ostrzejsze, niż nasze sądy. Czytałem niedawno w dziennikach sprawozdanie z rozprawy przeciw jakiemuś kanceliście sądowemu z Wiednia, który z podręcznej kasy urzędowej naruszył jakąś drobną kwotę, coś ośmdziesięciu czy stu koron. — Obwiniony tłómaczył się tem, że ma dużo dzieci, że z pensyi swej nie jest w stanie wyżyć, że nie miał za co kupić dzieciom książek do szkoły i tylko dlatego się zapomniał. I tamci sędziowie litowali się nad nim, a przewodniczący rozprawy głosem, w którym drgało wzruszenie, odezwał się do oskarżonego: „Jak mogłeś pan nie pamiętać o tem, że naruszając pieniądze urzędowe, narażasz siebie i swą rodzinę na tak straszne nieszczęście?“ — a jednak trzymając się kodeksu, zasądził go trybunał wiedeński na rok więzienia. Być może, że go potem przedstawił do łaski monarszej, ale sam nie poprawiał kodeksu zbyt łagodnym wymiarem kary.

Otóż, mojem zdaniem, i w naszych sądach nieco większa surowość w stosowaniu przepisów kodeksu karnego względem przestępców byłaby bardzo wskazana i wyszłaby na zdrowie naszym stosunkom społecznym, podczas gdy systematyczne zastępowanie sprawiedliwości miłosierdziem, i to często niewłaściwem, powiększać będzie tylko zastępy zbrodniarzy.

W. L.

Obiór króla w Serbii.

(*Telegramy Przeglądu*).

Belgrad 22 czerwca. Król serbski wyjedzie z Genewy dzisiaj, w poniedziałek, o godzinie 8 wieczorem osobnym pociągiem dworskim przez Berno, Zurich, Buchs, Insbruck, Salcburg, Wiedeń i Budapeszt. Dłużej nieco zatrzyma się pociąg tylko w Wiedniu, dokąd przybędzie jutro o godzinie 10 wieczorem. Przyjazd do Belgradu nastąpi we środę, o godzinie 10 przedpołudniem.

Belgrad 22 czerwca. Dziennik urzędowy ogłasza tekst znanej depeszy gratulacyjnej Cesarza Franciszka Józefa do króla Piotra. Opuszczono w niej jednak ten ustęp, w którym Cesarz potępia ostro krwawe wypadki.

Bukareszt 22 czerwca. Z powodu śmierci królestwa serbskich zarządzono 14-dniową żałobę dworską.

Madryt 22 czerwca. Dwór tutejszy przywdział po zgonie króla Aleksandra i królowej Dragi trzytygodniową żałobę.

Konstantynopol 22 czerwca. W kaplicy rosyjskiej ambasady odbyło się wczoraj żałobne nabożeństwo za zamordowaną serbską parę królewską, w którem wziął udział prócz personalu ambasady rosyjskiej, serbski poseł w Konstantynopolu Gruicz.

Konstantynopol 22 czerwca. Wobec austro-węgierskiego ambasadora barona Calice sułtan wyraził zdanie, że czuje się zupełnie uspokojony stanowiskiem Rosyi i Austro-Węgier względem Serbii.

Genewa 22 czerwca. Wczoraj przedpołudniem król Piotr I, przyjął parlamentarną deputacyę serbską na audyencyi. Prezes senatu Welimirowicz, wyraził nadzieję, że król usunie rozłam pomiędzy koroną a narodem i poprowadzi sprawy Serbii na szczęśliwsze tory. Królowi wręczono wspaniale wykonany protokół Zgromadzenia narodowego, na którem go wybrano. Król odpowiedział, iż jest rozczulony dowodami wierności i uległości narodu serbskiego. Zapewnił też, że w piersi jego bije gorące serce serbskie, oddane tylko szczęściu ojczyzny.

Belgrad 22 czerwca. Pułkownika Pawła Missicza zamianowano komendantem Belgradu.

---

22)

DAMA I KOBIETA

powieść współczesna

przez

Maryę Milkuszyc.

(Ciąg dalszy).

III.

Po kilkomiesięcznym pobycie w Karlsbadzie postanowiono wrócić do kraju. Baron czuł się daleko zdrowszym, silniejszym, kaszel choć nie ustał zupełnie, ale był mniej dokuczliwy. Zenejda czuła się bardzo dobrze, wody karlsbadzkie opłukały rozlaną żółć, a namiętne hołdy Caponiego dotąd jej się nie sprzykrzyły, owszem, zdawała się w nich pewne znajdować upodobanie. Postanowiła pokazać nowego wielbiciela swoim przyjaciółkom; namówiła barona, by go zaprosił na polowanie; uszczęśliwiony Włoch obiecał stawić się na dzień oznaczony, tak lubił podróże... tak wdzięczny był baronowi, że mu nastręcza sposobność poznania kraju, do którego zawsze czuł pociąg nadzwyczajny...

Prześliczna polska jesień tego roku wystąpiła w całej swej krasie; rezydencya baronowej zawrzała życiem, gości sproszono mnóstwo, za pretekst służyło polowanie, ale licznie zebrane grono dam ściągało młodzież do salonów, gdzie przy wytwornej muzyce tak dobrze tańczyło się noc całą... bywały i polowania z śniadaniem, zastawianem wśród lasu, na które zjeżdżały panie konno lub powozami. Trzy tygodnie trwały uroczystości, wreszcie zbyt chłodne podmuchy wiatru, zapowiadające słoty, rozproszyły wesołe towarzystwo. Baronostwo na zimę wybierali się do Warszawy; Caponi musiał wracać do swojej słonecznej ojczyzny, unosząc obietnicę baronowej, że w marcu zobaczą się w Pizie, dokąd ma zamiar wyjechać z mężem, aby uniknąć, dla jego schorzałych piersi, kapryśnych zmian wiosennego w kraju powietrza.

Smutny i zły wyjeżdżał z Polski Caponi, nie pojmując nawet, jakim sposobem dał się tak usidlić Zenejdzie; on, co dotąd śmiał się z westchnień trubadurów do okrutnych kochanek, litował się nad naiwnością średniowiecznych rycerzy, co lata wiernych afektów platonicznych umieli przechowywać wśród walk i niebezpieczeństw. On, niezwyciężony Caponi, opuszczał damę swych myśli, nie zyskawszy nic, po kilkumiesięcznych zabiegach, prócz półsłówek, uśmiechów... Ale *pazienza* — mówił sobie w duchu — i dla mnie przyjdzie pożądana chwila; będę czekać... ale na co?... A jeśli to zimna kokietka, i odrzuci go, jak zmięty bukiet, brudną rękawiczkę... O! wtedy zemści się, nie daruje takiej obelgi!... Piękne, klasyczne rysy przybrały wyraz dzikości i okrucieństwa... Gdyby go takim zobaczyła Zenejda, niezawodnie zadrżałaby ze strachu.

Baron przeziębił się na wsi; po powrocie do Warszawy jest mu coraz gorzej, kaszel, gorączka, dreszcze, prawie go nie opuszczają. Sili się jednak na uśmiechy dla żony, namawia ją, aby bywała w teatrze, na balach, gdzie już jej towarzyszyć nie może; zawsze jednak szczęśliwy, gdy piękna pani przed wyjazdem z domu pokaże mu się w całym blasku swej toalety.

Zenejda bawi się, bywa wszędzie, brak jej jednak pałających oczu pięknego Włocha; wzdycha, zamyśla się; miałażby teraz dopiero poznać, co to jest miłość? O nie, to niepodobna!...

Alina nie odstępuje starego barona; teraz z upadkiem sił przywiązał się do niej jak dziecko, literalnie nie wypuszcza jej ze swego pokoju, jest w stanie płakać, gdy na dłuższą opuści go chwilę. Lekarstwa z innej nie przyjąłby ręki.

Pan Lucyan jest bardzo częstym gościem w domu baronowstwa, grywa w karty z baronem i długie z nim spędza godziny; chory rad bardzo z towarzystwa młodego człowieka, wita go z radością, zaprasza, zatrzymuje. Alina czytuje przy nim głośno baronowi, potem rozmawiają z sobą, poruszając najczęściej jakieś kwestye poważne, zagadnienia życiowe; baron z przyjemnością bierze udział w tych rozmowach, o ile na to kaszel mu pozwala.

W towarzystwie bardzo zajmują się Lucyanem, zauważono w nim straszną zmianę od czasu powrotu z zagranicy. Z wujenką stanowczo czulsze zerwał stosunki, do baronowej z lodowatem zbliża się uszanowaniem, w teatrze wprawdzie bywa, ale piękne boginie tej świątyni napróżno w niego wymierzają ponętne wzroku pociski, przestał wydawać kolacyjki; młodzież nazywa go pedantem, damy: le beau ténébreux, siląc się napróżno wciągnąć go do zabawy, zająć, rozweselić... Wszyscy starają się odgadnąć zagadkę: Co mu się stało?... Napróżno.

Pani Helena dopiero w styczniu przyjechała do Warszawy, dłużej niż zwykle zatrzymała ją na wsi choroba ukochanej córeczki. Nie długo po przyjeździe oddała wizytą baronowej, a jeszcze więcej Alinie, z którą pozostawała zawsze w bardzo przyjaznych stosunkach.

— Wiesz Alinko, co tu plotą w Warszawie? Mówią, że Lucyan Sadowski posiadł nakoniec niezwalczone serce Zenejdy, że ma z nią stosunek, że dumna pani nie pozwala mu nawet zbliżać się do żadnej kobiety... a on dźwiga w pokorze swoje słodkie więzy i stał się bajką całego towarzystwa. Czy to może być prawdą Alinko?

— Co za nikczemna potwarz!... Czemu takie rzeczy powtarzasz Heleno! Sama bez zarzutu, czemu na Zenię chcesz rzucić tę plamę; wiesz przecie, że całem życiem daje dowody cnoty; lubi hołdy, to prawda, ale mieć jakąś intrygę, do tego nigdy zdolnąby nie była.

— Nie unoś się Alinko, mnie to mówiono, powtarzać nikomu prócz ciebie nie będę. Ale powiedzno mi, czy nie wiesz czego o Lucyanie, spotkałam go niedawno, jest strasznie smutny i przygnębiony, to samo dowodzi, że nie musi być szczęśliwy w miłości, wyglądałby inaczej. Co się jemu stało?

— Pan Lucyan bywa tu bardzo często u barona, z Zenią nawet się nie widuje, ja w nim nic nie zauważyłam nadzwyczajnego. chociaż rozmawiamy z sobą wiele. Nie wiem, czy się w kim kocha, nigdy mi o tem nie mówił ani słowa. Ale to młody człowiek bardzo poważny i szlachetny, może po prostu zastanowił się nad tem, że prócz miłostek i hulanki są jeszcze inne tego życia cele, a wiedząc, żeby go nikt nie zrozumiał w jego otoczeniu, milczy, nie troszcząc się o to, co o nim powiedzieć mogą.

— Nieprawdopodobne przypuszczenie, które ty tylko zrobić możesz, Alino. — Ja wprawdzie nie mam pojęcia o tem, co tak struło Lucyana, jednak ręczyć prawie mogę, że to musi być coś mniej poetycznego, tak dobrze znam młodzież naszą...

— Tylko proszę cię Heleno moja, nie daj szarpać honoru Zeni tak niewinnie... nie wiem, skąd wyjść mogła ta plotka; mogę ci zaręczyć, że są dla siebie oboje zupełnie obojętni.

— Wierzę ci, wierzę, moja Alinko, wiem przecie, że Zenejda jest marmurową, a zatem niezdolną do uczuć i czynów zwykłych śmiertelników... bądź spokojna o nią, nie raz to pierwszy chcą ją spotwarzyć; nie udało się nigdy, to też i teraz spełznie na niczem. Ale tem więcej ten Lucyan mnie intryguje...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Konstantynopol 22 czerwca. Francuskie pisma, wychodzące tutaj, po raz pierwszy zamieściły wczoraj wiadomość o zamordowaniu serbskiej pary królewskiej. Dotychczas nie wolno było prasie w Turcyi wspominać o zamachach na panujących.

Mały feljeton.

Rozstrzelanie xiędza.

Przekład z francuskiego.

Gdy w szeregach ostatnich Wandejczyków nastąpił zupełny popłoch, jenerał Huchet nakazał wojsku przeciąć odwrót uciekającym, osaczyć wioskę, przeszukać zarośla i zająć drogi i ścieżki, prowadzące do lasu i nad brzeg Loire'y. Był więc pewien, że xiądz Jaubert i kilku Bretonów, którzy wraz z nim uniknęli rzezi, nie mogli byli schronić się gdzieindziej, jak do tej wioski.

Huchetowi nie wiele zależało na schwytaniu chłopów, lecz chciał wziąć xiędza. Przyrzekał pokaźną nagrodę pieniężną temu, kto wyda Jauberta, ale ci, do których zwracał się z tą propozycyą, zdawali się go wprost nie rozumieć. Przypuszczając, iż xiądz ukrywa się może pod przebraniem, nakazał żołdactwu przetrząsnąć chałupy, gumna i zaułki i sprowadzić wszystkich mieszkańców wioski, mężczyzn i kobiety, na plac przed kościołem.

Zebrano w taki sposób dość sporą gromadkę wieśniaków, lecz samych tylko wieśniaków.

Jak odkryć pomiędzy nimi młodego xiędza, znanego rewolucyonistom jedynie z nazwiska? Huchet wpijał wzrok badawczy w każdego chłopa, żołnierze obszukiwali kobiety. Rozkazano wszystkim pokazać ręce; były czarne i spracowane.

Indagowani kolejno chłopi, odpowiadali w gwarze miejscowej, spokojnie, naiwnie, naturalnie.

— Drwią sobie ze mnie pod tą maską fałszywej dobroduszności — myślał Huchet, gryząc wargi z wściekłości. — Jaubert mnie słucha, Jaubert na mnie patrzy, Jaubert jest tu, między tymi chłopami. Ale, jak go poznać? Jak zmusić ich do wydania klechy, jak sprawić, by klecha sam się zdradził?

Jenerał począł pienić się, ciskać, sypać pogróżki; nakaże znieść doszczętnie tę wioskę, spalić domy, wystrzelać ludzi, lub roznieść ich na szablach i zatłuc kolbami muszkietów.

Wybuch gniewu ostygł wreszcie wobec spokoju ogłupionego na pozór tłumu. Huchet zamilkł, przypominając sobie wskazówki szefów, polecających środki pokojowe. Pomyślał o swych rozproszonych w okolicy szeregach, a porównywając je do skupionego tłumu chłopów, zdał sobie sprawę ze swej bezsilności. Odwrócił się nagle i odszedł.

II.

Miotała nim głucha wściekłość; dążył do swej kwatery i miał już wejść do niej, gdy przemówił doń żołnierz stojący na warcie:

— Nasz więzień, dezerter niemiecki, pragnie ci coś powiedzieć.

— Rozstrzelać go natychmiast!—huknął Huchet, pełen szalonej chęci wywarcia pomsty nad kimkolwiek.

— Ma być właśnie rozstrzelany, — odparł wartownik, —lecz chce ci coś powiedzieć przed śmiercią...

— ...Chce ci powierzyć coś dotyczącego Jauberta — dodał żywo, spoglądając na zagniewanego wodza.

Oblicze Hucheta rozjaśniło się; widniała na niem przebiegłość.

— Więzień wie coś o Jaubercie — rzekł. — Dobrze! przyprowadź go do mnie.

W kilka chwil później dezerter Niemiec stanął przed generałem.

— Czyżbyś znał sposób odkrycia xiędza? — spytał Huchet.

— Tak generale.

— Więc widziałeś kiedy klechę? Twarz jego nie jest ci obcą?

— Nie znam go i nie widziałem go nigdy. Ale przyszła mi pewna myśl do głowy... Wszak skazany jestem na rozstrzelanie?

— Daruję ci życie, jeśli mi wydasz Jauberta.

— Jaubert dostanie się napewno w twe ręce; lecz każ mnie poprowadzić na miejsce egzekucyi; niech wszyscy myślą, iż jestem skazany na śmierć. Rozkaż więc zerwać ze mnie ubranie, związać mi z tyłu ręce i pociągnąć mnie przez główną ulicę wioski ku miejscu, gdzie ma być wykonany wyrok. Chłopstwo zbiegnie się na to widowisko. Idź tuż za mną i patrz bacznie naokoło; każ mnie rozstrzelać, jeśli nie rozpoznasz klechy w tłumie.

Generał i dezerter zrozumieli się i spojrzeli na siebie z cynicznym uśmiechem.

III.

Wieśniaczki i wieśniacy nie opuścili byli jeszcze placu przed kościołem, gdy ich uszu dobiegł nagle hałas niezwykły. Żołnierze wylęgli z kwatery i z głośnym krzykiem pchali przed sobą skazańca, obdartego, skrępowanego więzami, o wzroku błędnym. W gromadzie rozległy się szemrania:

— To dezerter, Niemiec — rozstrzelają go. Zasłużył na to. — Gdyby tylko takich zabijano!

Chciwy tragicznych widowisk tłum rozstąpił się, otwierając przejście dla żałobnego orszaku.

Więzień szedł wolnym krokiem naprzód, eskortowany przez czterech żołnierzy z obnażonemi szablami. Huchet dążył tuż za nim. Reszta oddziału posuwała się w pewnej odległości.

Więzień biadał głosem zrozpaczonym i błagalnym, nabrzmiałym łkaniem:

— Zabiją mnie, zabiją mnie niechybnie! Nie boję się śmierci, lecz boję się Boga... Nie drżę przed karą, która spadnie na me nędzne ciało, lecz boję się tej, która czeka mą duszę, obciążoną grzechami. Przeklęty jestem! Klątwa wisi nademną! Czyż to nie straszne nieszczęście: zejść do grobu, nie wiedząc, czy jest dla mnie przebaczenie, nie mogąc wyznać nikomu mej skruchy, bez słowa błogosławieństwa, bez krzyża Chrystusowego w chwili śmierci!

W ostatnim rzędzie garstki ciekawych stał jasnowłosy młodzieniec w chłopskiem ubraniu; zadrżał, słysząc skargi skazanego, a niebieskie jego oczy zmąciły się nagle. Uczynił ruch, jak gdyby chciał był wydobyć coś z pod kurtki i począł przedzierać się naprzód przez tłum wieśniaków, który wnet zacieśnił się jednak naokoło niego. Rozległy się szepty:

— Stój, nie ruszaj się. Zwracasz na siebie uwagę.

Lecz, niebaczny na ostrzeżenia, młodzieniec nie ustąpił i prosił półgłosem:

— Puśćcie mnie, przyjaciele! Proszę was, puśćcie mnie natychmiast; ja muszę się tam przedostać!

Ale wieśniacy odpychali go w tył uparcie, powtarzając przestrogę.

— Nie, nie! Stój spokojnie! Szaleństwem byłoby wierzyć w te jęki i jeremiady. Ten łotr kłamie i odgrywa komedyę, w której niema prawdziwego żalu za grzechy.

Orszak przybliżał się coraz więcej. W niebieskich oczach wieśniaka zajaśniało wielkie światło; podniósł głos, w którym drgało silne wzruszenie:

— Może to kłamstwo, przyjaciele moi, lecz może i prawda. Nie mogę pozwolić, by ostatnia prośba chrześcijanina prowadzonego na śmierć, pozostała bez odpowiedzi. Nie chcę narażać żadnego z was; nie mówcie do mnie, nie patrzcie w mą stronę, odsuńcie się odemnie. I dajcie mi przejść. Nie proszę już was o to, lecz rozkazuję to wam w Imię Chrystusa.

W jego wzroku i głosie była taka siła i stanowczość, że tłum rozstąpił się posłusznie. Więzień powtarzał znów właśnie swą żałosną skargę:

— ...Bez słowa błogosławieństwa! Bez krzyża w chwili zgonu.

Niebieskooki młodzieniec przystąpił do dezertera krokiem spokojnym i pewnym. Wyjął z pod wełnianej kurtki krucyfiks i wzniósł go do góry, rozpoczynając modlitwę za konających.

Lecz zaledwie otworzył usta, już dzikie wycia zagłuszyły głos jego:

— To Jaubert, to Jaubert!

Eskortujący więźnia żołnierze poskoczyli ku młodzieńcowi, wywracając go na ziemi; Huchet schwycił go za gardło. W szeregach zabłysły bagnety, skierowane przeciw wieśniakom.

Ksiądz Jaubert powstał wreszcie; nie szczędzono mu ciosów i uderzeń, ubranie wisiało na nim w strzępach. Przed nim stał dezerter i śmiał się drwiąco, oswobadzając swe ręce z więzów.

— Czy nie mówiłem, że klecha złapie się na ten podstęp i wpadnie w zasadzkę?

Niebieskie oczy xiędza zaszły mgłą smutku i patrząc na Judasza, rzekł z prostotą, głosem słodkim i pełnym niewymownego miłosierdzia.

— Jeśli twoja skrucha była obłudną, żałuję cię, mój przyjacielu, żałuję z głębi serca.

I Jaubert oddalił się w otoczeniu żołdactwa urągającego i wygrażającego pięścią.

Dezerter stał jak wryty, na miejscu. Choć odzyskał był wolność, nie patrzył nawet na pola, łąki, lasy, na cały krajobraz, rościelający się przed nim. I powtarzał machinalnie:

— Co ten klecha chciał przez to powiedzieć? Co on chciał powiedzieć?

Nagle, w dali za wioską, rozległy się strzały. Zdrajca zadrżał; zdawało mu się, iż chłód lodowaty powiał w przestrzeni. I wyruszył wreszcie w drogę, powoli, krokiem ciężkim, z głową na piersi opuszczoną. Dręcząca myśl przeniknęła w jego mózg przewrotny i czujący brutalnie i przeżuwał ją wciąż machinalnie, nie zdając sobie sprawy, iż mówi przezeń nieuświadomiony jeszcze głos sumienia:

— Nie rozumiem, co ten klecha chciał powiedzieć?... Dlaczego on mnie żałował? Dlaczego?

Widmo rozruchów antiżydowskich.

Z Królestwa nadchodzą bardzo niepokojące wieści, mianowicie, że czynownicy tameczni pragną wywołać rozruchy antyżydowskie i to nietylko w Warszawie, ale i w miastach prowincyonalnych. Między innymi donoszą z Łodzi, gdzie już kilkakrotnie grożono rozruchami, że od pewnego czasu znowu głoszono, że się zanosi na rozruchy i przygotowywano do nich publiczność, ale na szczęście alarmy te były dotąd fałszywe, zwykła burda uliczna między robotnikami a policyą.

Roztelegrafowana zaś przed kilku dniami wiadomość o zajściu pomiędzy kilkudziesięcioma robotnikami a policyą, redukuje się do rozmiaru zwykłych nieporządków ulicznych. Nadchodzą również wieści o mniejszych nieporządkach w Zduńskiej Woli, w Łomży, w Ostrołęce. Trudno sprawdzić ich rzeczywistość, tem bardziej, że pisać o tem dziennikom warszawskim zupełnie zabroniono.

Z powodu tych pogłosek warszawski korespondent *Dziennika Poznańskiego* pisze: Kwestya żydowska jest dla nas pierwszorzędnego znaczenia. Warszawa, pomimo niepokoju, jaki i u nas wśród żydów zapanował, była i jest zawsze uważana za żydowskie Eldorado. Jak tylko gdzieś w Rosyi, bliżej czy dalej, robiły się awantury na tle antysemityzmu, zawsze mnóstwo żydów do nas się chroniło. Tak jest i teraz. Emigracya z gubernij południowych znowu się wzmogła. Skonstatować dokładnej cyfry na razie niepodobna. Ale bądź co bądź, przypuścić należy, że dziś, skutkiem stałego od lat kilkunastu napływu, liczba żydów w Warszawie przeszła trzykroćstotysięcy. Warszawa jest więc na całym świecie miastem, w którem się najwięcej żydów znajduje, zgromadzonych w jednem miejscu. Przypuszczając, że ludność Warszawy wynosi 760.000, okaże się, że żydzi stanowią w niej około 40 procent. Można więc się obawiać, czy w razie rozruchów, obrona, do jakiejby się żydzi uciekli, nie przybierze rozmiarów zorganizowanej walki ulicznej. Pogłoski, że syoniści trzymają w pogotowiu broń, którą w danym razie rozdadzą pomiędzy współwyznawców, uważam za zmyślone. Ale wierzę w to, że opór, jakiby na wypadek rozruchów żydzi stawili, byłby zacięty i krwawy. Żydzi uważają Warszawę za swoje miasto.

W dzielnicy żydowskiej, rozciągającej się od ulicy Długiej i Bielańskiej z jednej strony, a z drugiej od Żabiej, Grzybowskiej i Granicznej aż po rogatki wolskie, powązkowskie i w stronę cytadeli, czuć się mogą żydzi istotnie u siebie. W stronę tę rzadko się chodzi, chyba za pogrzebem lub udając się na dworzec kolei nadwiślańskiej. Rozglądając się przy tej sposobności, nie widać wtedy prawie wcale ani szyldów z nazwiskiem chrześcijańskiem, ani chrześcijańskiej fizyognomii wśród ludności. Przychodzi się więc do przekonania, że tak jest istotnie, że jeśli nie połowę Warszawy, to znaczną jej część żydzi za swoją uważać mogą. A ponieważ na policyę, jako na silnego reprezentanta istotnego porządku liczyć nie można, więc dziwić się trudno niepokojowi wśród żydów panującemu, ani ostatecznie i temu, że myślą o środkach obrony.

Zachodzi kwestya, jaką postawę, w razie rozruchów żydowskich, władza zająć zechce? Czy organa jej uważałyby, że rozruchy żydowskie byłyby na rękę rządowi, czy nie? Czy zrewolucyonowana Warszawa, mniejsza o to, z jakich powodów i na jakiem tle — nie przedstawiałaby miłej gratki dla wszystkich czynowników-karyerowiczów, pożądanej okoliczności dla wykazania, że ten spokój, jaki u nas panuje, jest tylko pozornym i że wszelkie złagodzenie systemu względem nas jest nie na czasie. W każdym razie jednak burza żydowska, rozpoczęta w Besarabii, nie jest od nas tak daleką, jakby się to z pozoru wydawać mogło. A gdyby do nas doszła, obawiać się można, że przybrałaby rozmiary bardzo niebezpieczne.

KRONIKA.

Lwów 22 czerwca.

Pani Marya hr. Potocka, wdowa po ś. p. Alfredzie hr. Potockim, a matka Romana i Józefa Potockich, zaniemogła ciężko. Miała w sobotę silny atak apoplektyczny, wskutek którego sparaliżowaną jest cała lewa strona jej ciała.

Księżna Jerzowa Czartoryska, której stan zdrowia budził poważne obawy, ma się od paru dni znacznie lepiej.

Mianowanie. Minister skarbu zamianował zarządcę magazynu sprzedaży tytoniu w Wadowicach, Wawrzyńca Oleksego, dyrektorem takiegoż magazynu we Lwowie.

Prof. dr. Jan Bołoz Antoniewicz złożył godność prezesa Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie.

X. dr. Jan Fijałek, wybrany w sobotę rektorem uniwersytetu lwowskiego na rok przyszły, zrezygnował z tej godności na rzecz rektora dotychczasowego, dra Ochenkowskiego.

Sprawa morderstwa przy ul. Kościuszki ma być już odesłana z policyi do sądu karnego, władze śledcze przyszły bowiem do przekonania, że byłoby niedorzecznością dalej się łudzić mniemaniem, że oprócz Wierzchołka i Radziewicza był jeszcze ktoś, który brał udział w morderstwie. Rzeczą jest bowiem naturalną, że Wierzchołek musi wymyślać sobie nieistniejącego wspólnika, albowiem w takim razie może na niego składać winę mordu, a o sobie utrzymywać, że tylko brał udział w rabunku. Z tego względu też, a nie z jakiejś miłości do Radziewicza nie zeznaje on, że Radziewicz był jego wspólnikiem i że we dwóch dokonali morderstwa, w chwili bowiem, w którejby złożył to zeznanie, sytuacya by się zmieniła i Radziewicz począłby całą winę zwalać na niego, na Wierzchołka, a wtedy obaj mogliby się dostać na szubienicę. Tymczasem, wymyślając ciągle istnienie jakiegoś nieznanego spólnika zbrodni, Wierzchołek mniema, że zdoła sprawę tak pokierować, aby był tylko sądzony i karany za rabunek.

Za winą Radziewicza przemawia wiele szczegółów. I tak np. wiadomo, że podczas kiedy dwaj zbrodniarze dokonywali owego morderstwa, parę osób dzwoniło do kamienicy, ktoś dzwonił o godz. 1, ktoś o 2, i ci świadkowie zeznają, że czekali bardzo długo, jeden utrzymuje nawet, że całą godzinę czekał, zanim stróż się zjawił, że stróż był zmięszany itd. Z drugiej strony znaleziono w piwnicy zwitek zmiętego papieru, w który ktoś obcierał ręce krwią zbroczone. Owóż prostą jest rzeczą, że takie pośpieszne obcieranie rąk w papier mógł uskutecznić tylko stróż, przynaglony do tego dzwonieniem do bramy, każdy inny morderca nie byłby w papier wycierał rąk, tylko je obmył, mając dosyć na to czasu. Zapewne więc rewizye dokonane w kamienicy okazały że są jakieś ślady na klamce bramy, na kluczach od niej, na samej bramie, bo prawdopodobnem jest, że Radziewicz niezupełnie dokładnie obtarł ręce ze krwi w ów papier. Może jeszcze i dziś byłby czas uzupełnić śledztwo w tym kierunku.

Na winę Radziewicza wskazuje jeszcze inny szczegół. Oto Wierzchołek zeznał był, że on i wspólnik jego skłonili służącą Oranżowej do otworzenia drzwi mieszkania tem, że powiedzieli, iż posłaniec z telegrafu przyszedł z depeszą. Owóż to, że służąca bez wahania natychmiast otworzyła drzwi, zdaje się dowodzić, że poznała głos tego, który jej o tem mówił, bo dziwnemby jej się wydawać musiało, że jakiś nieznajomy człowiek przyszedł z posłańcem telegrafu. Zatem wszelkie prawdopodobieństwo jest, że stróż jej to powiedział, a ona znając go i żyjąc z nim w przyjaznych stosunkach, nie powzięła podejrzenia.

Z obowiązku kronikarskiego notujemy jeszcze, że po nieudałej próbie utrzymywania, iż morderstwa dokonał niejaki Ostrowski, zaczął Wierzchołek w sobotę oblagowywać władze śledcze twierdzeniem, że nie Ostrowski, lecz jakiś Czerwony, czy Czerwenyj, był tym, który razem z nim morderstwa dokonał, a potem wyjechał ze Lwowa. W tym celu policya poszukiwała w Tarnopolu i w innych miejscowościach tego Czerwonego, zupełnie jednak bezskutecznie. Skutkiem tego — jak się dowiadujemy w ostatniej chwili — aż do wykrycia owego Czerwonego prowadzić się będzie dalej śledztwo policyjne, poczem dopiero oddana zostanie cała sprawa w ręce władz sądowych.

Zatwierdzenie wyroku śmierci. Trybunał kasacyjny w Wiedniu odrzucił zażalenie nieważności, wniesione przez Franciszka Krzyżanowskiego, który przed paru miesiącami skazany został przez lwowski trybunał przysięgłych na karę śmierci przez powieszenie za zabicie kaprala policyjnego Kończaka na targowicy zamarstynowskiej. Co do siedmiu towarzyszy Krzyżanowskiego, skazanych na więzienie dwuletnie, to zniżono im karę z dwóch lat na jeden rok ciężkiego więzienia.

Samobójstwo oficera. W Dębicy odebrał sobie w tych dniach życie przez powieszenie się stacyonowany tam przed niespełna miesiącem podpułkownik ułanów Filip Baucr v. Bauernthal. Samobójstwo popełnił on — jak opowiadają — z tęsknoty za Wiedniem, w którym przez szereg lat przebywał i w którym miał rodzinę.

Popis doroczny kończących nowy kurs szkolny w zaszczytnie znanej szkole śpiewu p. Pauliny Stróżeckiej-Sobotowej odbył się wczoraj przed południem w sali Domu Narodnego przy licznym udziale publiczności. Rezultat tegorocznej nauki, jaki się na popisie zaprezentował, zasługuje na wszelką pochwałę; słuchacze przekonali się ponownie, jak umiejętnie p. Stróżecka kształci młode głosy, traktując każdy w sposób dlań najwłaściwszy, oraz jak starannie przytem dba o rozwijanie poczucia muzykalnego.

Najpiękniejsze głosy posiadają i najbardziej zaawansowane są w nauce następujące uczenice: panna Ziembicka, posiadająca śliczny niski mezzosopran, już prawie alt, i władająca nim wybornie; zwłaszcza głębokie wrażenie wywarła ona odśpiewaniem nastrojowej pieśni Galla „Cicho śmierci zejdź"; panna Glaserówna, posiadająca mezzosopran bardzo rozległy, śpiewająca z wielkiem przejęciem się i z siłą dramatyczną, a bardzo inteligentnie; obie te panny wykonały wysoce dramatyczny duet Aidy i Ameris z opery Verdiego „Aida" ku ogólnemu zadowoleniu. Najbardziej może już wyrobiona na sposób śpiewu scenicznego jest pani Szauerowa, posiadająca silny sopran, doskonale wyszkolony. Odśpiewała ona z bardzo dobrem frazowaniem i cieniowaniem aryę z „Żydówki" Halevyego. Piękny głos altowy ma panna Mochnacka, która wykonała aryę z „Samsona i Dalili" Saint-Saënsa.

Panna Proczkowska posiada sopran niezbyt silny, ale mile brzmiący i śpiewa bardzo inteligentnie. Znacznym temperamentem odznacza się śpiew panny Gizińskiej, której też w aryi z „Halki" najlepiej udawały się ustępy silnie dramatyczne. Świeży głos, chociaż niewielki i dobrą interpretacyę okazała panna Wędrychowska, bardzo dobre wyszkolenie głosu niezbyt silnego panna Mark. Na pochwałę zasługują też panny: Pawlikowska, Lebenstein, Korosteńska i Ludwig. Panna Pintówna, uczennica najmłodsza z tych, które wczoraj występowały, posiada głos wprawdzie niewielki, ale nader mile brzmiący i śpiewa bardzo ładnie.

Publiczność wszystkie produkcye przyjęła bardzo życzliwie. Uczenice zgotowały p. Stróżeckiej serdeczną owacyę.

Metropolitą mohylewskim mianowany został, na miejsce zmarłego przed pół rokiem śp. X. arcybiskupa Kłopotowskiego, dotychczasowy biskup płocki X. Jerzy hr. Szembek.

Z Krakowa donoszą nam: Wczoraj w południe odbyło się tu walne zgromadzenie Towarzystwa sztuk pięknych. Prezesem wybrano na niem hr. Edwarda Raczyńskiego, wiceprezesami pp. Piotra Stachiewicza i prof. Konstantego Laszczkę, a do wydziału pp. prof. J. Rostafińskiego, prof. G. Mycielskiego i Jana Zawiejskiego. Wybrano nadto osobny komitet, który ma się zająć sprawą 50 letniego jubileuszu Towarzystwa. Wedle przedłożonego walnemu zgromadzeniu sprawozdania, Towarzystwo sztuk pięknych posiada obecnie 96.000 kor. majątku.

Bawiła tu wycieczka Polaków i Rosyan, maturzystów z Kijowa. Wycieczkowcy zwiedzali osobliwości i pamiątki Krakowa, między innemi Wawel i groby królewskie. Wycieczka zabawi tu do jutra, poczem udaje się w dalszą podróż do Pragi, Wiednia i Włoch.

Na zjazd Sokołów we Lwowie wysyła Kraków 150 Sokołów, biorących udział w ćwiczeniach, Podgórze zaś 30 Sokołów.

Teatr ludowy wystawia w tym tygodniu trzy premiery. We wtorek 23 czerwca po raz pierwszy doskonała, dawno we Lwowie nie grana sztuka ludowa ze śpiewami p. t. „Zagroda Sobkowa", osnuta na tle życia górali koło Zakopanego. We czwartek 25 czerwca, jako „wieczór śmiechu", wesoła fantastyczna komedya ze śpiewami Moliéra p. t. „Don Juan" czyli „Kamienny Gość". W niedzielę wieczór przedstawienie ku uczczeniu złotu Sokołów, danem będzie „Ksiądz Marek" Jul. Słowackiego. Piękne to dzieło wystawione będzie po raz pierwszy we Lwowie. Nowa wystawa.

Gody weselne w Ołyce. W uzupełnieniu zamieszczonej wiadomości o zaślubinach Franciszka Salezego hr. Potockiego z Małgorzatą Maryą księżniczką Radziwiłłówną otrzymujemy obecnie szczegóły następujące: Zjazd do Ołyki na uroczystości weselne był ogromny, przybyli bowiem przedstawiciele i przedstawicielki prawie wszystkich wybitnych rodów w Polsce, liczne duchowieństwo, cała administracya dóbr ordynacyi i służba lenna tak, że do stołów w ciągu trzech dni zasiadało po paręset osób.

Po obiedzie w poniedziałek, przybyły na wesele z Warszawy kapelmistrz p. Adamus ofiarował parze oblubieńców dedykowany im okolicznościowy mazur weselny p. t. „Na Ołyce", który zaraz orkiestra wykonała z ogólnym aplauzem pod dyrekcyą kompozytora. Tańczono w sali rycerskiej pod wodzą Stefana hr. Przeździeckiego i p. Edwarda Meysztowicza we 22 pary do północy.

Nazajutrz, o godzinie 10-tej rano, w położonej tuż przy zamku kolegiacie św. Trójcy, wspaniale przybranej dywanami, kwiatami i girlandami zieleni, zgromadzili się wszyscy goście weselni, zajmując miejsca w ławkach, ponsowem suknem obitych. Solenną mszę rzymską na intencyę oblubieńców celebrował J. E. biskup łucko-żytomirski, x. Karol Niedziałkowski, który zamieszkiwał od dni kilku w Ołyce u proboszcza miejscowego i bierzmował niestrudzenie kilkotysięczny zastęp wiernych. Asystowało obrzędowi ślubnemu liczne duchowieństwo, a wtórował nabożeństwu chór mieszany amatorski z Łucka, który wykonał „Mszę" Mitterera, p. Adamus zaś zagrał solo na skrzypcach „Ave Maria" Szuberta.

Drużbami i druhnami byli: Karol ks. Radziwiłł z Zofią hr. Potocką, Jan hr. Potocki z księżniczką Clary i Aldringen, Janusz ks. Radziwiłł z Jadwigą ks. Radziwiłłówną i Tomasz hr. Potocki z Anną ks. Lubomirską.

Parę nowożeńców, powracającą do zamku, przyjmowaną n wejścia do sali sejmowej przez rodziców Ferdynandowstwa ks. Radziwiłłów, Konstantowstwa hr. Potockich — chlebem i solą, powitała orkiestra „Marszem weselnym" Mendelssohna Bartholdy. Na podwórzu zamkowem grała przez cały dzień orkiestra wojskowa.

O godz. 2-ej pp. cały orszak weselny, z J. E. x. biskupem Niedziałkowskim naprzeciwko młodej pary, zasiadł do przepysznie kwiatami przybranych stołów. Podano śniadanie, przy którem J. E. x. biskup wzniósł krasomówczy toast na cześć młodej pary, a ordynat, prezes Koła polskiego, Ferdynand ks. Radziwiłł toastował na cześć J. E. x. biskupa. Uczta weselna przeciągnęła się do godz. 4 po południu.

Teraz państwo młodzi przyjmowali życzenia administracyi miejscowej i oficyalistów, w liczbie 60 osób zgromadzonych, których podejmowali szampanem i słodyczami, a później w poblizkiej alei parku życzenia całej służby, z olbrzymich lasów Ołyckich przybyłej, w której imieniu jeden ze starszych leśników ofiarował Franciszkowstwu hr. Potockim chleb i sól.

O godz. 8-mej wieczorem podano w tej samej sali sejmowej obiad na 120 nakryć, podczas którego wygłoszono wiele serdecznych toastów i odczytano setki telegramów.

Między innemi znajdowały się depesze z błogosławieństwem i życzeniami Jego Em. kardynała Rampolli w imieniu Jego Świątobliwości Papieża, J. E. ks. arcybiskupa Zaleskiego z Cejlonu i J. E. ks. arcybiskupa Wincentego Popiela.

Po obiedzie tańczono znów z dużem ożywieniem w sali Rycerskiej zamku aż do godz. 3-ej rano, o której to porze państwo młodzi, żegnani przez najbliższych, wyjechali z Ołyki do dóbr hr. Potockich na Litwie.

Zaznaczyć w końcu należy, że brat nowożeńców, Jan hr. Potocki zaręczył się z Janiną hr. Zamoyską, córką Zdzisława hr. Zamoyskiego z Jadowa i Maryi ze Szwykowskich.

Popis publiczny uczenic i uczniów I koncesyonowanej szkoły muzycznej p. Heleny Ottawowej odbędzie się w czwartek 25-go bm. o godz. 5 po południu w sali Domu Narodnego na dochód budowy pomnika Chopina. Programy (po 20 halerzy), które służą zarazem za bilety wstępu, nabywać można wcześniej w składzie nut p. Zadurowicza, ul. Akademicka l. 8, lub przy wejściu na salę w dzień popisu.

I. Popis Instytutu muzycznego, założonego w zeszłym roku w mieście naszem przez panie Weleszczukową i Niementowską, odbył się w sobotę w sali „Domu Narodnego". Nowy ten muzyczny zakład naukowy zaprezentował się nader korzystnie. Odbywa się w nim nauka gry na fortepianie, na skrzypcach i na wiolonczeli. Klasa fortepianowa ma kilka kursów: elementarny p. Jaworskiej, średni p. Dubiskiej, wyższe pań Weleszczukowej i Niementowskiej, nauczycielek, cieszących się zasłużonem uznaniem w naszem mieście i najwyższy p. Skrzydlewskiego. Nauki gry skrzypcowej udziela p. Deman, koncertmistrz orkiestry teatralnej, klasę wiolenczelową prowadzi p. Arnold Wolfsthal. Produkcye uczniów i uczenic wszystkich klas i kursów świadczyły o starannem i umiejętnem kierownictwie w kursach p. Niementowskiej i p. Skrzydlewskiego, niektóre produkcye wkraczały już w sferę gry prawdziwie artystycznej i wirtuozowskiej. Jedna z uczenic kursu najwyższego p. Dutkiewiczówna wykonała kompozycyę prof. Skrzydlewskiego, która ogólnie się podobała licznie zebranej publiczności.

Sport pieszy. Wczoraj urządzono w Warszawie wyścig piechurów między Warszawą a Jabłonną. Oprócz tego dla zachęcenia publiczności do kultywowania sportu pieszego organizują się tam wycieczki konkursowe po kraju. W tym celu ogłoszono już dwa konkursy: tygodniowy i dwutygodniowy. 1) Dla konkursu tygodniowego wymagalna jest do przebycia pieszo minimalna przestrzeń 150 wiorst; dla konkursu dwutygodniowego—300 wiorst. Pożądanem, ale nie obowiązującem jest przebycie możliwie największej przestrzeni. 2) Wymarsz można rozpocząć z Warszawy, lub z miejscowości, posiadającej konsulat cyklistów, w kierunku dowolnym — meta w Warszawie (na Dynasach). 3) Datą wymarszu zarówno dla uczestników konkursu tygodniowego, jak i dwutygodniowego jest dzień 28 b. m. 4) Uczestnik konkursu winien posiadać dowody legitymacyjne. 5) Przy wyruszeniu w podróż każdy uczestnik poddać się winien oględzinom lekarskim i uzyskać świadectwo, iż stan jego zdrowia pozwala na odbycie dalekiej wędrówki pieszej. 6) Każdy winien przedstawić sędziom dokładną marszrutę podróży z oznaczeniem dnia, w którym będzie przez daną miejscowość przechodził. 7) Każdy uczestnik winien ze swej wycieczki zdać sprawozdanie, odpowiednie do ogłoszenia drukiem i w tym celu prowadzić powinien dziennik podróży. 8) Nagrody w postaci żetonu złotego, dwóch srebrnych i pewnej ilości bronzowych przyznawane będą względnie do wartości materyału opisowego. 9) Turysty obowiązkiem jaki pozostawia się do spełnienia jego sumienności i honorowi — jest nie posługiwać się od chwili wymarszu żadną inną lokomocyą. Przytem dla łatwiejszego dostarczenia dowodów otrzyma każdy od Zarządu wystawy specyalną książeczkę do poświadczeń, iż rzeczywiście przez daną miejscowość przechodził. 10) Prace turystów winny być złożone w terminie dwutygodniowym po przybyciu do mety. Prace dostarczone po upływie tego terminu przyjęte nie będą.

Odczyty o panslawiźmie. Prof. Baudoin de Courtenay, znany filolog-lingwista miał w Krakowie dwa odczyty o panslawiźmie nader zajmujące i stawiające kwestyę panslawizmu na zupełnie właściwym punkcie.

Panslawizm, zdaniem prelegenta, to utopijna idea, unosząca się nad całą Słowiańszczyzną; źródłem i genezą jej ostatnie dziesiątki lat historyi politycznej Europy, które przyniosły w dziejowym rozwoju wzrost, potęgę i umocnienie żywiołu słowiańskiego w Europie. Punktem dośrodkowym tego ruchu, który promienieje na wszystkie słowiańskie ludy i szczepy, jest Rosya. Potęga polityczna Rosyi wydaje się małym ludom słowiańskim ostoją i tarczą ochronną w walce z wrogiemi dla ich odrębności narodowej żywiołami. Czując swą polityczną niemoc wobec przewagi przeciwników, garną się pod skrzydła idei panslawistycznej i w zbrataniu się wszystkich plemion słowiańskich widzą deskę ratunku.

Byłoby rzeczą trudną wykazać istnienie w rzeczywistości jakichkolwiek punktów stycznych pomiędzy interesami, kulturą i polityką ludów słowiańskich. Jedynym kitem, jaki je spaja i zbliża, to podobieństwo języka i utopie o pochodzeniu ze wspólnego pnia słowiańskiego. W rzeczywistości jednak pod pokrywą wspólności interesów i tożsamości idei pobratymczej, kryją się najczęściej egoistyczne interesa. Słowianie ani pod względem szczepowym, ani pod względem historycznym, nie mają cech pokrewnych i wspólnych, któreby bratanie się ogólno-słowiańskie usprawiedliwiały. — Jeżeli zaś dążenie to przybrało konkretne kształty i skrystalizowało się w ideę, to jestto zręcznym wytworem polityki rosyjskiej. Rosya, jako państwo najsilniej skonsolidowane, oparte na rasie mocnej, wysunęła panslawizm jako ideę, jako sztandar swej polityki słowiańskiej. Jestto panslawizm praktyczny rosyjski, dążący do ugruntowania własnej potęgi, polityka utylitarna, usiłująca podnieść gwałt do wyżyny ideału. Przeciwstawieniem jej jest panslawizm idealny, marzycielski, jakiemu w dobrej wierze hołdują drobne ludy słowiańskie.

Trzecim rodzajem panslawizmu jest panslawizm literacki, polegający na studyowaniu literatur słowiańskich w celu zapoznawania się wzajemnego z kulturą i cywilizacyą słowiańską i przyswajania sobie z tego dorobku cech ogólno-ludzkich. Przedstawicielami i propagatorami takiego panslawizmu są kluby słowiańskie w Pradze i Krakowie.

Polityczny balot. P. Waldeck-Rousseau, uważany powszechnie za człowieka, który obejmie spadek po prezydencie Rzeczypospolitej p. Loubecie, zechciał zostać członkiem arystokratycznego Yacht-Clubu we Francyi. W tym celu poddał się tymi dniami balotowaniu i został niestety przebalotowany. Arystokratyczna większość tego klubu oświadczyła, że nie życzy sobie mieć go w swojem towarzystwie. Zachodzi teraz pytanie, jak ten fakt wytłómaczy sobie pospólstwo francuskie, czy na korzyść p. Waldeck-Rousseau, czy na jego niekorzyść? Bo mogą właśnie panowie republikanie powiedzieć, że to przebalotowanie go z arystokratycznego klubu jest dowodem jego wielkiej moralnej wartości, a w takim razie nietylko mu ten fakt nic a nic nie zaszkodzi, ale owszem podniesie go jeszcze w oczach demokratycznego pospólstwa.

Przyjaciel Polaków. Tymi dniami urządzała Florencya wielką owacyę p. Tankred Canonico, swemu senatorowi i prezydentowi tamecznej apelacyi, z okazyi ukończenia 75-go roku życia i przejścia w stan spoczynku. P. Canonico jest przywódcą włoskich towiańczyków i wielkim przyjacielem Polaków.

Socyaliści w Niemczech. Według dotychczasowych obliczeń padło blisko trzy miliony głosów na kandydatów socyalistycznych w Niemczech, podczas gdy przed pięciu laty padło na nich tylko 2,107.000. Okazuje to, do jakiego stopnia rządy cesarza Wilhelma stają się w Niemczech niepopularnymi.

Nowe stowarzyszenie w Warszawie. Pod nazwą „Snop" rozpocznie swoje istnienie w Warszawie z początkiem roku przyszłego nowe Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń. Pomimo, iż niedawno dopiero zawiązane, nowe Towarzystwo liczy

750 członków ze zgłoszonymi do tej pory udziałami w kwocie 12 milionów rubli.

Zmarli. W Andrychowie zmarła w 56 roku życia Felicya z ks. Łodzia Ponińskich hr. Karolowa Bobrowska. W Nesterówce zmarł Jędrzej Mazaraki, właściciel dóbr, w 89 roku życia.

Ofiary. Dla chorej, szesnastoletniej A. W., która własną pracą utrzymywała rodzinę, nadesłali w dalszym ciągu: Bronisława Wołowska z Kołomyi 2 K., J. S. z Bolechowa 5 K., Aniela Bogdanowiczowa z Ostrowca 6 K. Dotychczas złożono u nas na ten cel 102 K. 10 h.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 13 w poł. + 19. Bar. 762. Podnosi się. Dość pogodnie.

Niemodnie.

Młoda mężatka do męża:

— Prawda Janku, że pobraliśmy się z miłości?

Janek: — O tak, ale na miłość Boską, nie dajmy tego poznać po sobie.

Nieszczęście jednakie.

— Narzeczonych Elli ściga nieszczęście.

— Jakto?

— Jeden utonął, drugi padł w pojedynku, trzeci zwaryował, a czwarty — ożenił się z nią.

Widowiska i koncerty.

Teatr miejski. Dziś w poniedziałek „Słodka dziewczyna" operetka. — We wtorek po raz 1szy „Nasi dekadenci," kom. w 4 a. W. Palińskiego.

Repertuar letniego teatru ludowego przy ul. Kochanowskiego l. 23. We wtorek po raz 1szy „Zagroda Sobkowa", sztuka ludowa ze śpiewami w 6 obrazach Błotnickiego, muzyka Wrońskiego. — We czwartek po raz 1szy „Don Juan," czyli „Kamienny Gość", fantastyczna kom. ze śpiewami w 3 aktach z Moliera. — W sobotę po raz 2gi „Don Juan". W niedzielę popołudniu „Zagroda Sobkowa"; wieczorem uroczyste przedstawienie ku uczczeniu zlotu Sokołów po raz pierwszy „Ksiądz Marek," dramat w 3 a. J. Słowackiego. — W poniedziałek popołudniu „Rinaldo Rinaldini"; wieczorem ku uczczeniu zlotu Sokołów „Belweder," sztuka w 4 a. Bolesławicza.

Cyrk braci Truzzich. We wtorek: Wielkie przedstawienie. Występ wszystkich artystów i artystek, pierwszy debiut dyrektora cyrku Rudolfa Truzziego z oryginalną tresurą koni. Bracia Wortley, słynni gimnastycy napowietrzni.

Literatura i sztuka.

* **Z teatru ludowego.** Wczoraj popołudniu dano w letnim teatrze ludowym wyborną komedyę niezapomnianego Michała Bałuckiego „Dom otwarty". Przedstawienie tej komedyi, choć czuć było niejednokrotnie braki należytego przygotowania, wypadło ku ugólnemu zadowoleniu widzów, którzy bawili się bardzo dobrze i ochoczo oklaskiwali wykonawców. Lwia część tych oklasków przypadła oczywiście p. Pilarskiemu, który w roli jowialnego „wujaszka" był istotnie wyborny i grą swoją, pełną pogodnego, niewymuszonego humoru, wywoływał raz po raz głośny śmiech w widowni. Obok niego popisywał się w roli przysłowiowego Fujarkiewicza z Mościsk p. Miarczyński, któremu oddać należy przy tej sposobności pochwałę, że starał się jak najmniej szarżować i wogóle rolę swoją traktował całkiem seryo. Podnieść to należy tem bardziej, że szarża była dotąd po prostu manią tego artysty, który — trzeba, czy nie trzeba — niemal z lubością nią się posługiwał, nie chcąc widocznie ani rusz zrozumieć, iż to mu raczej szkodzi, niż pomaga. Dopiero w ostatnich czasach wszedł p. Miarczyński na poważne artystyczne tory i wykazuje bardzo wybitne postępy w tym kierunku. Co do p. Korczaka podnieść należy, że mówi bardzo inteligentnie i nie robi wcale wrażenia, że się nauczył roli i ją recytuje. Natomiast odzwyczaić się powinien od śmiania się podczas wypowiadania humorystycznych rzeczy.

Z innych wykonawców wymienić należy p. Lipczyńskiego w roli Fikalskiego, oraz p. Modzelewską, której jednak zarzucić trzeba, że bezpotrzebnie wciąż się śmieje, a przytem grą swoją sprawia niejednokrotnie takie wrażenie, jak gdyby robiła... łaskę audytoryum, pozwalając się słuchać.

W roli Janiny grała p. Palińska. Rola to bardzo trudna, bodaj czy nie najtrudniejsza w sztuce, to też należycie ją zagrać może jedynie rutynowana aktorka, a p. Palińska nią nie jest, występ jej bowiem wczorajszy był prawie debiutem. Trudno więc nawet było wymagać od niej gry skończonej; powiedzieć o niej można tylko tyle, że starała się grać jak najlepiej i w niektórych miejscach grała na prawdę dobrze, na przeszkodzie jednak stał jej ciągle brak rutyny scenicznej, brak obycia się ze sceną. W każdym razie oddać należy p. Palińskiej pochwałę i za to, że roli nietylko nic popsuła, ale owszem, jak na początek, grała ją wcale dobrze.

Panna Olska nie miała wprawdzie w roli Kamilli pola do popisu, grała jednak mimoto, jak zawsze, tj. bez zarzutu.

Ogółem pomimo nawet wytkniętych wad i braków, przedstawienie „Domu otwartego" wypadło bardzo dobrze i każdy wyszedł z pewnością z teatru zadowolony. Radzilibyśmy tylko przy następnem przedstawieniu tej komedyi uważać więcej na charakteryzacyę niektórych osób i na młodzież tańczącą w drugim akcie, niektórzy bowiem z pośród niej pozwalali sobie zupełnie bezpotrzebnie, a nawet ze szkodą dla sztuki, na... poprawianie autora.

Wieczorem grano wodewil St. Błotnickiego „Krawiec arystokrata", czyli „Gagatek pana majstra". Sztuka grana była niemal bez zarzutu, raźno i z godną przytem podniesienia starannością, to też oklasków było co niemiara, zwłaszcza, że i publiczności było dużo.

Emma Jeleńska. *Z miłości,* powieść. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Spółka. 1903.

Pani Jeleńska przejęła się bardzo Ibsenowską „Norą" i napisała powieść, w której pragnie wykazać, że podwaliną małżeństwa powinna być nie tylko miłość, ale przedewszystkiem wspólność duchowa obojga małżonków. Wanda, osoba dobra i inteligentna, i Karol, energiczny działacz społeczny, pobrali się z miłości, mimo to małżeństwo ich nie jest szczęśliwe. Wanda bowiem pragnie dzielić zamysły i prace męża, jej bujna intelligencya szuka pokarmu, tymczasem Karol jest nietylko z charakteru człowiekiem bardzo lakonicznym i suchym, ale nadto z zasady odsuwa ją od udziału w pracach, któremi się zajmuje, żona bowiem powinna jego zdaniem uprzyjemniać mężowi życie, być dla niego osłodą po troskach, a nie wspólnikiem trosk. Nie uważa jej za człowieka równego sobie, lecz za słodkie stworzonko salonowe, zdolne tylko do pieszczot miłosnych. Wanda wytłómacza sobie, że jej mąż ma słuszność, że ona nie powinna mu się naprzykrzać swojemi pretensyami wtedy, kiedy spracowany przychodzi do domu i łaknie odpoczynku; rezygnuje więc ze swych pretensyi i zamyka ból w sobie. Ale jej dusza, odtrącona przez Karola, musi się około czegoś owinąć i czepia się niezdrowej lektury dekadenckiej. Zamiast mrzonek socyalistycznych poznaje inną atmosferę umysłową: atmosferę obłąkań filozoficznych i płciowych, która wprawdzie nie demoralizuje jej czystego serca, ale niepokoi je i oszałamia. Mąż, zapytany przez nią o radę, przegląda owe niepokojące ją książki, irytuje się niemi, w końcu zaś nie mogąc się z tym całkiem nowym dlań światem uporać, mówi żonie: najlepiej o tem wszystkiem nie myśleć! I Wanda znowu czuje się samotną, zamkniętą jakby w pięknem więzieniu, przez męża, który jej prócz pieszczot i wygód sam nic nie daje, ani też od niej wziąć nie chce.

Zjawia się ten „trzeci". Jest nim kuzynek Karola, Lutek, charakter biegunowo odmienny od Karola. Miękki, próżniaczy, wykwintny, a przedewszystkiem nawskróś egoistyczny. Nie interesując się sam niczem, chce żeby się nim zajmowano, żeby pilnowano jego kaprysów, słuchano jego poetycznej a naiwnej paplaniny, — i w Wandzie znajduje materyał bardzo podatny. Podczas gdy egoizm Karola jest odpychający, ekskluzywny, męzki, egoizm Lutka jest zaborczy, dziecięcy — a Wanda nie ma dzieci. Powoli wytwarza się między Wandą a Lutkiem atmosfera erotyczna, bo Wanda spragniona poezyi i marzeń mimowoli przejmuje się romantyzmem Lutka. Kiedy zaś Karol, przestrzeżony przez jedną z towarzyszek Wandy, poznaje swój błąd i zadaje sobie gwałt, by wtajemniczać Wandę w swoje zamiary i wciągnąć ją w swoje prace społeczne, jest już zapóźno: umysł Wandy stał się bowiem tymczasem zbyt wybrednym i rozpoetyzowanym, żeby się ugiąć pod jarzmo socyalistycznej roboty.

Coraz bardziej przechyla się Wanda na stronę Lutka, chociaż czuje, że ani ona jego, ani on jej nie kocha, że i tu w grę wchodzi zmysłowy egoizm męzki, chociaż innego rodzaju niż u Karola. Kiedy raz wreszcie oszołomiona, pewnego parnego dnia letniego przyrzekła Lutkowi, że przyjdzie do niego, — reflektuje się, a że mimo wszystkiego ma serce czyste i wolę silną, więc nie mogąc ani oddać się Lutkowi, ani wrócić do męża, a nie mając żadnych innych celów w życiu, wybiera śmierć i topi się.

Na tem się kończy powieść pani Jeleńskiej, napisana bardzo gładko, aż zanadto nawet gładko, w lekturze przyjemna, chociaż pełna znanych już efektów i zbytnio naciągana do tragicznego końca. Ma ona dużo zalet, przedewszystkiem zaś tę, że znaną zresztą kwestyę emancypacyi kobiet w małżeństwie wzbogaca kilku nowymi rysami i pokazuje ciągłą jej żywotność. Bardzo trafnie przedstawia również pani Jeleńska, jak socyalista Karol, człowiek, który ma pretensyę do uzdrawiania całego społeczeństwa, przez swój fanatyzm doktrynerski nie umie utrzymać tego, co jest właściwie podstawową komórką wszelkiego życia społecznego: życie rodzinne. Ten praktyczny rzekomo działacz okazuje się zupełnie niepraktycznym: ratuje społeczeństwo, a niszczy rodzinę.

W rozwijaniu swych tez jest autorka konsekwentna, ale ta konsekwencya przychodzi jej dość łatwo, gdyż omija trudności zamiast je zwalczać, i buduje sobie wypadek wyjątkowy, na którym można udowodnić wszystko, czego autorce trzeba. Dość wspomnieć, że Karol i Wanda przez 8 lat nie mają dzieci — dlaczego? Oto dlatego, bo to jest autorce potrzebne do przeprowadzenia tezy, bo gdyby Wanda miała dzieci, to nietylko pustka w jej życiu byłaby wypełniona, ale i Karol, który z pewnością byłby dobrym ojcem, miałby z nią od razu wielką wspólność, np. debatując z nią o wychowaniu, o przyszłości dziecka, a wspólność ta z czasem mogłaby się rozszerzć i na inne rzeczy. Małżeństwa zaś w zwykłych warunkach w ciągu 8 lat zwykle miewają dzieci, dlatego małżeństwo Wandy z Karolem jest pod tym względem tak samo wyjątkowe, jak wyjątkową jest lakoniczność charakteru Karola; dlatego też tezy ogólne, wyciągnięte z takich wyjątkowych wypadków, nie mogą mieć siły przekonywującej.

Ale z drugiej strony trudno zaprzeczyć, taka kobieca niejako stronniczość w powieści pani Jeleńskiej wywiera pewien odrębny urok, robi z jej książki coś jakby namiętne, gorące oskarżenie, rzucone wszystkim mężczyznom Jako taki akt oskarżenia jest „Z miłości" powieścią bardzo zajmującą i świadczy o znacznym temperamencie literackim autorki.

Nowe dzieło pani Jeleńskiej nie jest jednak wolne od znacznych błędów. Autorka przedstawia wypadki zbyt ogólnikowo i zbyt jednostronnie. I tak np. stara się ona wprawdzie wniknąć w motywy zachowania się Karola i przedstawić je jako dosyć racyonalne ze stanowiska jego jako męża i mężczyzny, ale mimo to nie może uchylić się od zarzutu, że ten jej Karol za głupi, za ślepy. To wyjątek, nie typ. Ludzie są przeważnie tak egoistyczni, gadatliwi, skłonni do zwierzeń, że jest prawie niemożliwem, żeby taki Karol, natrafiwszy na tak dobrą, bierną, podatną, na wskróś tylko receptywną duszę, jak dusza Wandy, nie skorzystał z tego przez ośm lat! Inaczej jego wstrzemięźliwość byłaby istotnie anormalna. Zauważyć też trzeba, że kto jak kto, ale socyaliści wciągają z lubością w swoją robotę kobiety: żony, siostry, kuzynki; bo emancypacya kobiety jest u nich jedną z zasad, którą stosują w życiu codziennem aż nazbyt często. Najważniejszym jednak zarzutem byłoby to, że cała książka ma charakter zbyt polemiczny: od samego początku wie się, do czego autorka zmierza, ale przy końcu nie jest się o dużo więcej przekonanym, niż się było z początku.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 20 czerwca.

(Z.) Sytuacya na Węgrzech, na którą dotychczas giełda zapatrywała się dosyć różowo, dziś zaostrzyła się. Hr. Tiszy nie udało się złożyć nowego gabinetu, odpadają tedy na razie wszystkie kombinacye, jakie snuła giełda na temat powstania nowego rządu na Węgrzech, i znów znajdujemy się przed wielkim znakiem zapytania. W walorach bankowych, kolejowych i przemysłowych mieliśmy dziś zniżkę. Akcye kolei cieplickiej (Aussig-Teplitz), które wczoraj spadły o 80 koron, dziś obniżyły się znów o 100 koron, a powodem tego wielkiego spadku była podobnie jak wczoraj niemożność sprzedania jednej partyi, obejmującej kilkadziesiąt sztuk tych akcyi. Także akcye innych kolei czeskich wykazują dotkliwy spadek, wogóle bowiem zarówno frekwencya podróżnych, jak i ruch towarowy na ich liniach, są w tym roku znacznie mniejsze, niż w ubiegłym.

W sprawie zawiązania „Petrolei" rozesłali inicyatorzy tego stowarzyszenia do wszystkich producentów ropy w Galicyi pismo, w którem proszą ich, aby najpóźniej do 1 lipca oświadczyli się, czy przystępują do projektowanej organizacyi, czy też nie.

Rokowania w sprawie zawiązania kartelu austryackich fabryk zapałek postąpiły już tak, że podobno już od 1 lipca powstać ma w Wiedniu centralne biuro sprzedaży zapałek z fabryk kartelowych. Jak wiadomo, organizacyę tę patronuje Länderbank. Podobno kilka węgierskich fabryk zapałek oświadczyło chęć przystąpienia do tego kartelu.

Z Konstantynopola donoszą, że skutkiem zabiegów dyrektora banku ottomańskiego p. Auboyneau przyszło już do porozumienia między Francuzami a Niemcami co do sfinansowania kolei bagdadzkiej. Ułożono się, że 40% kapitału akcyjnego objąć mają Niemcy, 40% Francuzi, 10% zarezerwowano dla Turcyi, a 10% dla Austryi i Szwajcaryi.

Zniżenie stopy procentowej przez bank angielski wywarło na wszystkich zagranicznych targach pieniężnych jak najlepsze wrażenie. Nie ma jednak nadziei, aby bank niemiecki poszedł za przykładem angielskiego.

Z Brukseli donoszą, że w łonie tamtejszej komisyi międzynarodowej przeważa zdanie, że gdyby fabrykanci cukru w Austryi i na Węgrzech zawiązali między sobą prywatny kartel, oparty zupełnie na tych samych podstawach, na których opiera się ustawowy kontyngent, to ze stanowiska konwencyi brukselskiej nie możnaby temu nic zarzucić.

Komisya brukselska wydała już swój wyrok w sprawie austryackiego kontyngentu cukrowego, a jak to było do przewidzenia, jest ten wyrok potępiający, gdyż orzeka, że ustawowy system kontyngentowy zaprowadzony w Austryi i na Węgrzech sprzeciwia się konwencyi brukselskiej. Jedyną pociechą dla nas jest chyba to, że wyrok ten nie zapadł jednomyślnie, gdyż reprezentant Niemiec głosował razem z reprezentantami Austryi i Węgier, przeciw zaś głosowali delegaci Anglii, Francyi, Belgii, Hollandyi, Włoch i Szwecyi. Ta pomoc Niemiec jednak nie na wiele nam się przyda, kontyngent ustawowy absolutnie nie da się utrzymać i trzeba zawczasu obmyśleć coś, czemby go można zastąpić. Ze względu na niezałatwione jeszcze przesilenie na Węgrzech, nie mogą rządy na razie wdrożyć żadnej akcyi, za to fabrykanci cukru zaczynają się krzątać gorliwie. Na wtorek zwołano do Wiednia konferencyę rafinerów i fabrykantów surowca, na której przedłożony zostanie plan zawiązania prywatnego kartelu, mającego zastąpić ustawowy kontyngent. Rezultat tej konferencyi podany zostanie w dniu 27 b. m. do wiadomości wszystkich fabryk cukru w Austryi.

Ogłoszono właśnie wykaz handlu zagranicznego naszej monarchii za maj br. Sprawił on bardzo dobre wrażenie z tego powodu, że jest znacznie lepszy od bilansu za maj roku ubiegłego. Eksport bowiem wynosił 173,300.000 koron, a więc o przeszło 17 milionów więcej, niż w maju 1902 — import zaś był o 400.000 K. mniejszy i wynosił 158.600.000 koron. — Ostatecznie więc bilans za maj daje nadwyżkę czynną 14,800.000 koron, podczas gdy w maju 1902 mieliśmy 3 milionową nadwyżkę importu. Polepszenie się naszego bilansu handlowego w tym roku przypisać należy głównie zwiększeniu się eksportu płodów rolniczych, zwłaszcza pszenicy, jęczmienia, słodu, owsa i bydła na rzeź.

W stosunkach pieniężnych nie zaszła żadna zmiana. W Berlinie są one wciąż drogie i za gotówkę na ultimo żądają tam powyżej $4^1/_2$%, podczas gdy na tutejszym targu pierwszorzędne firmy mogą ją w eskoncie prywatnym otrzymać taniej, niż na $3^1/_4$%.

Przewlekanie się rozwikłania przesilenia węgierskiego oddziaływa bardzo ujemnie na tendencyę targu tutejszego i zwiększa tylko ogólną stagnacyę.

Z Brukseli donoszą, że francusko-belgijski syndykat bankierski obejmie sfinansowanie nowej wielkiej pożyczki rosyjskiej. Pierwsza rata tej pożyczki w sumie 150 milionów płatne ma być jeszcze w ciągu lata, a subskrypcya na nią odbędzie się w Paryżu, Brukseli, Amsterdamie i Genewie.

Ostatnie notowania:

Akcye austr. Zakł. kredyt. 661·25, węg. Zakł. kredyt. 730·00, Anglobanku 276·50, Unionbanku 524·50, Länderbanku 414·50, Bankvereinu 482·50, Bodencredit 954.00, Gal. Banku hip. 541·00, Statsbahny 672.00, Lombardy 85·50, Kol. Elbethal 425·00, Północnej 5510, Czerniowieckiej 000·00, Alpiny 373·00, Rima Muranyi 464·00, Praskiego Tow. żel. 1605, Fabryki broni 355·50, Tureckie tytoniowe 352.00 Oblig. węg. indemniz. 98·40, Renta majowa 100·20, Austr. renta koronowa 100·45, Węgier. renta koronowa 99·40, 56-letnie Listy Tow. kredyt. ziem. 98·20, 4% Listy Banku krajow. 98·75, $4^1/_2$% Listy Banku krajow. 101·55, 4% Listy Banku hipotecznego 98·00, $4^1/_2$% Listy Banku hip. 101·00, 5% Listy Banku hipotecz. 112·00, 4% Gal. Oblig. propin. 99·65, 4% Gal. poż. kraj. z 1493 r. 99·15, 4% Poż. m. Lwowa 96·40, Losy turec. 124·00, Marki 117·35, Ruble 253·00.

§ **Z kolei.** Wschodnio-północno-zachodnio-austryacki Związek kolejowy. Z dniem 1 lipca wchodzi w życie dodatek I do taryfy część II, zeszyt 3 ważnej od 1 stycznia 1903.

Wschodnio-północno-zachodnio-austryacki Związek kolejowy. Z dniem 1-go lipca 1903 wchodzi w życie dodatek I do załącznika do taryf, część II.

§ **Sprawozdanie targowe lwowskiej izby kupieckiej.** Lwów 19 czerwca. (Ceny w koronach za 50 kg. netto loco (paritas) Lwów bez akcyzy).

Pszenica prima 7.50—7.60, średnia —.——.—, żyto prima 5.75—5.85, średnie 0.00—0.00, jęczmień browarny 4.50 4.75, pastewny 0.00 - 0.00, owies prima 5.25—5.40, średni 0·00—0.00, kukurudza prima 6.50—6.75, średnia 0.00—0.00, rzepak zimowy 8.50 do 8.75, letni —.— do —.—, siemię lniane 8.75 9.00, siemię konopne 6.50—6.75, koniczyna czerwona prima 50. do 55.—, średnia 30.— do 35.—, koniczyna biała prima 50.00—60.00, średnia 00.00—00.—, anyż płaski —.— do —.—, okrągły 0.00—0.00, tymotka 18.00.—20.00, groch do gotowania 7.25—7.50, zielony 7.25—7.50, pastewny 5.50—5.75, bobik koński 4.50—4.75, wyka 4.75—do 5.—, otręby pszenne 3.50—3.60, żytne 4.00—4.10. chmiel —. do —.

Spirytus surowy bez podatku loco stacye: — Husiatyn-Stanisławów kont. 36.00—36.25, nadkont. 21.00—21.25; Tarnopol-Brody kont. 36.50—36.60, nadkont. 21.50 21.75; Sokal-Jarosław kont. 36.75 do 37.00, nadkont. 21.75 do 22.00; rafinerye Lwów kont. 38.50 do 39.00, nadkont. 23.— do 23.25. — Cena bez wszelkich kosztów za 10.000 litr. proc

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Rzym 22 czerwca. Papież przyjął wczoraj arcybiskupa kolońskiego x. Fischera, który na najbliższym konsystorzu otrzyma kapelusz kardynalski. Ojciec św., którego stan zdrowia jest wyborny, wyraził w ciągu półgodzinnej ożywionej rozmowy z arcybiskupem i jego otoczeniem żywą radość, iż posłowie katoliccy powracają do nowego parlamentu niemieckiego w takiej samej sile, jaką posiadali w poprzednim.

Londyn 22 czerwca. Zmarł tu kardynał Vaughan, od roku 1892 arcybiskup Westminsteru. Liczył lat 72. Był on autorem wielu dzieł religijnych i pedagogicznych.

Rzym 22 czerwca. Król przyjął dymisyę Giolittiego i Bettola, potwierdził innych ministrów na ich urzędach i powierzył tekę ministerstwa spraw wewnętrznych prowizorycznie Zanardellemu, a zewnętrznych Morinowi.

Poznań 22 czerwca. Prezydent policyi zabronił obchodu „Wianków" urządzanego od szeregu lat przez Towarzystwo „Gwiazdę".

Budapeszt 22 czerwca. Ban chorwacki Khuen-Hedervary z polecenia Cesarza przybył do Budapesztu, celem zoryentowania się w sytuacyi politycznej, poczem powróci do Wiednia, żeby zdać sprawę Cesarzowi. Z tego wynika, że nie otrzymał on jeszcze formalnego polecenia utworzenia gabinetu. Cesarz dopiero po wysłuchaniu sprawozdania poweźmie decyzyę.

(Depesze popołudniowe).

Wiedeń 22 czerwca. Dziś rozpoczęły się w ratuszu obrady IV. austryackiego wiecu miast. Burmistrz L u e g e r powitał delegatów, zawiadamiając, że zaproszenia na wiec wysłano do wszystkich w Austryi miast, rządzących się własnym statutem, z wyjątkiem Pragi. Pragi nie zaprosił mówca z tego względu, że miasto to z okazyi poprzedniego III wiecu miast zachowało stanowisko wprost odporne. Mówca ubolewa nad tem bardzo, jednakże ze względu na pierwszą odmowę nie mógł inaczej postąpić. Z zaproszonych 31 miast przyjęło zaproszenia 28; Bozen usprawiedliwił niemożność wysłania delegatów. Kromieryż i węgierskie Hradyszcze odmówiły zaproszeniu.

Prezydentami wiecu wybrani: dr. Małachowski i Berger z Salcburga, wiceprezydentami Graf z Gracu i Wieser z Berna mor.

Następnie rozpoczęto obrady merytoryczne.

Budapeszt 22 czerwca. Wczoraj w południe udało się do parlamentu 21 posłów z partyi niezawisłości, aby prezydyum izby posłów wręczyć pisemną prośbę o natychmiastowe zwołanie posiedzenia izby. Prośbę uzasadniono trudnem położeniem politycznem, tem, że konstytucyjny król nie przebywa w stolicy Węgier, wreszcie tem, iż kroki podjęte w celu rozwikłania przesilenia politycznego sprzeczne są z ustawami. Posłowie, nie zastawszy nikogo z prezydyum, oddali prośbę kwestorowi z poleceniem, by ją wręczył pierwszemu członkowi prezydyum, który przybędzie do biura. W myśl regulaminu obowiązany jest prezydent w przeciągu 4 dni zwołać izbę na posiedzenie, jeżeli przynajmniej 20 posłów podpisze dotyczącą prośbę.

Belgrad 22 czerwca. Z okazyi przybycia króla odbędą się w dniach 24, 25 i 26 b. m. narodowe uroczystości. W jednym z tych dni odbędzie się w teatrze galowe przedstawienie.

Paryż 22 czerwca. Z okazyi wyboru nacyonalisty Syvetona do Izby deputowanych odbyły się wczoraj liczne demonstracye. Na ulicy Montmartre przyszło do starcia z policyą; przytem odniosło 2 agentów policyjnych lekkie obrażenia, a jeden ciężkie. Demonstracye trwały cały wieczór. Aresztowano 13 osób.

Budapeszt 22 czerwca. Ban chorwacki Khuen-Hedervary, przybywszy tu wczoraj o godzinie 7 wieczór z Wiednia, udał się natychmiast do liberalnego klubu, gdzie członkowie klubu sympatycznie go przyjęli. Ban zabawił tam 2 godziny i z licznymi posłami liberalnymi omawiał polityczne stosunki.

Labouvese 22 czerwca. Chłopi obrzucili kamieniami i błotem podprefekta i innych urzędników, przybyłych tu w celu ponownego przyłożenia pieczęci na klasztorze OO. Jezuitów. W ten sam sposób zaatakowano żandarmów. Kilka osób jest rannych.

Berlin 22 czerwca. Do „Biura Wolfa" donoszą z Bytomia na Górnym Szląsku: W miejscowości Laurahütte, na zgromadzeniu wyborczem centrowców wybuchły wczoraj zaburzenia. Wszechpolacy wtargnęli do sali i wszczęli taką wrzawę, że musiała wkroczyć władza bezpieczeństwa i zrobić użytek z broni. Po obu stronach wiele osób rannych, a jedna zabita.

Podług prywatnych doniesień, demonstranci, którzy zakłócili spokój, wybili szyby w probostwie, urzędzie górniczym, kasynie, oraz domach prywatnych. Około północy przybyło z Bytomia wojsko, nie miało już jednak sposobności działania, ponieważ już panował spokój.

Paryż 22 czerwca. Wczoraj przyszło w rozmaitych miejscowościach do bójek pomiędzy katolikami a socyalistami. W Brest zaatakowali socyaliści procesyę i usiłowali wydrzeć xiędzu monstrancyę. Przyszło do bójki; 15 osób, po większej części kobiety, zraniono. Podobne bójki były także w Nantes i Angers.

Orlean 22 czerwca. Podczas bankietu wygłosił minister wojny André mowę, w której zaznaczył, że obecne wypadki we Francyi są tylko epizodem, jednym z najgłówniejszych w walce, trwającej cztery stulecia. Chodzi o to, czy rewolucya oprze się kontrrewolucyi. Rząd i Combes, mimo miotanych na niego obelg, wypełnią swój obowiązek. Minister oświadczył, że jest koniecznem, aby armia była republikańską.

Wiedeń 22 czerwca. Wczoraj przybyło tu z Belgradu 18 Serbów, dzisiaj zaś przybywa 100 obywateli serbskich, którzy jutro powitać mają na dworcu króla Piotra w przejeździe do Belgradu.

Wiedeń 22 czerwca. Na dzisiejszych ogólnych audyencyach u Cesarza, byli między innymi: major Mieczysław Ledóchowski i radca dworu Stanisław Kosiński.

HOTEL GEORGE'A.

Przyjechali dnia 22 czerwca. S. Moor i E. Ziffer z Wiednia. J. Lumpp z Turki. A. C. Spanholz z Berlina. M. Rulikowska z Królestwa Polskiego. K. Paygert z Sidorowa. W. Rozwadowski z Babic.

HOTEL FRANCUSKI.

Lwów — Plac Maryacki.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 22 czerwca. Z. Sroczyński z Wiluminiec. J. Orobkiewicz z Brzeżan. W. Rubińscy z Żurawna. S. Średnicki z Rzeszowa. A. Metzner z Neustadtu. J. Czuba z Jaudhibla. J. Holzschuch, R. Nagy Elek i A. Hankiewicz z Wiednia. J. Wiest z Bawaryi. T. Schlegel z Monachium. F. Kossecey z Kijowa. E. Filipowicz z Jasła. B. Słonecki z Brzeżan. K. Udrycki z Mostów wielkich. W. Słonecki z Poraju. F. Cywińska i J. Żurakowski z Wołynia. G. Wiercińscy, A. Milkowicz i R. Niewiarowscy z Król. Polskiego. A. Vayhinger z Tarnowa. L. Kurykowski z Białej. A. Morawski z Przemyślan. S. Kuleszowie z Dublan. P. Stebnicki z Rosyi. J. Keller z Wiednia.

HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 22 czerwca. Dr. N. Stokłosiński z Rawy. H. Wolf z Kołomyi. J. Czechak z Karlsruhe. M. Mazaraki z Rosyi. K. Kurmanowicz ze Zborowa. A. Holan ze Stanisławowa. J. Janowitz z Budapesztu. W. Polański z Rudnik. J. Czan z Wrocławia. E. Zimermann z Hamburga. L. Thom z Żełdca.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności

Budapeszt 22 czerwca. (Giełda zbożowa) (Kursa w koronach i 50 kilogramów). Pszenica na październik 7·36—7·37; żyto na październik 6·24—6·25, owies na październik 5·51—5·52; kukurudza na lipiec 6·31—6·32, na sierpień 6·35—6·36, na maj 1904 5·26—5·27, na sierpień 1904 00·00—00·00. Rzepak na sierpień 11·71—11·85. Oferty na pszenicę mierne. Chęć kupna: słaba. Usposobienie: spokojne. Pogoda: pada deszcz.

Wiedeń 19 czerwca. (Giełda towarowa). Cukier 20·90 (spokojnie). Spirytus niezmieniony. Nafta niezmieniona.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 22 czerwca.

Marki 117.41, renta majowa 100.20, węgierska renta koronowa 99.40, akcye: austr. zakł. kredyt. 660.00, węg. zakł. kred. 730.00, anglobanku 276.00, unionbanku 524.50, bankvereinu 482.00, länderbanku 414.00, kolei państw. 670.50, lombardy 84.50, akcye kolei Elbethal 425.00, fabryki broni 357.75, tytoniowe 350.50, alpiny 371.50, Rima Muranyi 463.00, prag. Tow. żel. 1.600, losy tureckie 123.75, ruble 253.00. Usposobienie: spokojne.

Lwów 22 czerwca. (Z izby handlowej). Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 576.— do 585.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 540·00 do 550·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron —·— do 350·—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k 0·00 — do 260·—.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1903 roku według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa

Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8.40***, 6.10, 8.55, 5.50, 9.50*.
Z Rzeszowa: 10.25.
Z Podwołoczysk: (na dworzec główny): **2.30**, 7.55, 5.30, 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.35, 5.06, 10.02*.
Z Tarnopola: 3.30* (na dw. gł.) 3.09* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12.20.*, 1.40**, 6.20, 5.40, 9.20*.
Ze Stanisławowa: 11.15, **8.10**
Ze Stryja: 7.45, 9.57, 1.10, 4.35, 10.40*.
Z Rawy i Sokala: 8.15, 5.55.
Z Janowa: 7.40, 1.25, 9.25*, 10.07* (od 17|5 w niedziele i święta).
Z Brzuchowic: 6.50 (od 17|5), 8.14 (od 17|5 w niedziele i święta), 8.04* (od 17|5 w niedziele i święta), 8.25* (od 15|5 w dni powszednie), 9.12* (od 17|5 w niedziele i święta).
Z Tuchli: 4.35 (od 15|6).
Ze Skolego: 4.35 (od 1|5).
Z Pustomyt: 9.35 (od 1|6 w niedziele i święta).

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45*, 8.25, 2.50**, 4.10*, 8.35, 6.15*, 10.55*
Do Rzeszowa 8.25.
Do Przemyśla: 7.20*.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1.50**, 6.30, 9.—*, 11.—*; z Podzamcza: **2.04**, 6.48, 9.20*, 11.24.
Do Tarnopola: 10.40 z dw. głównego, 10.57 z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2.51*, 2.40**, 6.22, 10.35, 10.42*.
Do Stanisławowa: 6.05*.
Do Stryja: 6.45, 9.05, 3.05, 6.40*, 11.05*.
Do Rawy i Sokala: 9.40, 7.10*.
Do Janowa: 9.15, 1.14 (od 17|5 w niedz. i święta), 3.15*, 6.30*, 9.55 (od 17|5 w niedziele i święta).
Do Brzuchowic: 5.50* (od 17/5), 2.10 (od 17|5 w niedz. i święta), 8.30 (od 15|5), 8.14* (od 17|5 w niedziele i święta)
Do Tuchli: 8.05 (od 15|6).
Do Skolego 8.05 (od 1|5).
Do Pustomyt: 1.55 (od 1|6).

Uwaga. Pociągi pospieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

48)

Małżeństwo wdowca

(Z francuskiego).

(Ciąg dalszy).

Jakże okrutnie musiał być prześladowanym przez los, jak musiał się czuć opuszczonym przez wszystkich na świecie, aby zbuntować się do tego stopnia i stracić wszelką nadzieję... on, taki skory do ufności i poddania! W ogromie bólu i zwątpienia ta natura słodka i nieśmiała zaczerpnęła fizyczną odwagę dokonania czynu, przed którym wzdryga się najbardziej zahartowany duch ludzki...

Z rozdartem sercem Klementyna zdawała się widzieć przed sobą tę młodzieńczą twarz, która tak słodko uśmiechała się do niej przed chwilą, ten uśmiech taki dziecięco szczery i niewinny, te oczy takie wielkie, głębokie i czyste, pomimo że światło z nich uleciało na zawsze; te włosy ciemne, jak włosy Rolanda. A z tego wszystkiego cóż pozostało? Jakaż okropna zmiana, jaki przerażający widok zniszczenia tam ją czeka?

Wstrząśnięta do głębi istoty swojej Klementyna potrzebowała zebrać całą swoją siłę i odwagę, aby wysiąść przed hotelem na bulwarze Hausmana. Fronton pałacu oświetlony był latarnią gazową; na chodniku stała grupa, złożona z kilku osób, którą minąwszy, znalazła się przed lożą portyera. Ten wskazał jej na lewo apartament na parterze, jedno z tych maleńkich i eleganckich, jak bombonierka, kawalerskich mieszkań, osłaniających względne ubóstwo zrujnowanych magnatów.

Klementyna nigdy tu nie była, ale wobec tych nieznanych progów nie doświadczała żadnego zakłopotania. Dom, gdzie śmierć gości, święty jest jak sanktuaryum.

Z maleńkiego przedpokoiku weszła do salonu, w głębi którego spostrzegła drzwi zamknięte, których pilnował służący.

— Czy on tam leży? — spytała, czując, że oddech zamiera jej w piersi.

Uprzedzając jej życzenie, służący cicho otworzył przed nią drzwi na oścież.

Przez zapuszczoną portyerę błysnęło ku niej przyćmione światło i doleciał ją przyciszony szmer głosów. Klementyna stanęła w progu. Cała dusza jej zbiegła się do oczu, które skierowała w głąb pokoju.

Żałobna scena, jaką miała przed sobą, nacechowana była w najdrobniejszych szczegółach poetyczną melancholią i całą marzycielską tajemniczością tego życia, które tu dobiegało tragicznego swego kresu.

Wpośrodku pokoju, całego obciągniętego wschodniemi, jedwabnemi makatami i zasłanego perskimi dywanami, puszystemi skórami białych niedźwiedzi i niskiemi meblami, misternie inkrustowanemi perłową masą, stał siwowłosy kapłan, zwrócony zamodloną twarzą do obrazu Chrystusa Guido Renie'go, przed którą paliła się lampa rubinowym płomieniem, w którym łzy, kapiące z bolejącego oblicza Zbawiciela, przybierały krwawe jakieś odblaski. W półcieniu adamaszkowej kotary łoża majaczył biały kornet siostry miłosierdzia, podobny do skrzydeł anioła śmierci, gotowych do odlotu. Usta zakonnicy poruszały się cichą odpowiedzią na modlitwy kapłana, a ruchom jej towarzyszył brzęk przesuwanych paciorków długiego różańca. Szczęśliwszy w tem od ojca, Aleksander zdołał uzyskać w ostatniej chwili rozgrzeszenie win swojego krótkiego żywota i po przebaczeniu, uciszony, jak dziecko, układał się do snu wiecznego.

Na widok wchodzącej Klementyny zakonnica wstała i podeszła do niej, ukazując twarz pożółkłą, pomarszczoną i zwiędłą przedwcześnie pod białym kornetem. Rysy jej ściągnięte były od ciągłego czuwania nocą, oczy tak przesycone widokiem nędzy ludzkiej, że wyschło w nich źródło łez. Był to anioł, posłannik miłosierdzia Bożego na ziemi, sumienny i niezmordowany w spełnianiu zadania swojego, ale zobojętniały na cierpienia i wyczerpany z litości.

Nim jeszcze zbliżyła się do łoża, Klementyna wiedziała już, że Aleksander żyje, ale że godziny jego były policzone.

Widok, na jaki padły jej załzawione oczy, nie miał w sobie jednak nic odrażającego. Aż do ostatniej chwili biedny samobójca umiał zachować ten wdzięk wykwintu i słodyczy, oraz tę władzę panowania nad sobą, aby niczem nie zrazić ani nie sprawić przykrości drugim. Bandaże zakrywały i podtrzymywały to młode, strzaskane kulą czoło, które musiało stanowić jedną ranę. Częściowy paraliż mózgu zniweczył nawet ból fizyczny tak, że śmiertelnie blada twarz, zaledwie odcinająca się na białości poduszek, zachowała wyraz zupełnego spokoju i przytomności.

— To ja, Olesiu... — szepnęła Klementyna, tłumiąc łkanie.

Wyraz cichego rozpromienienia wystąpił na jego lica, a palce jego bezsilne uścisnęły zlekka dotykającą je dłoń. Nie wiedziała sama dlaczego przyszła jej w tej chwili na usta ta zdrobniała nazwa „Olesiu", którą mu dawała w dzieciństwie. Może dlatego, że ten wiek niewinności, kiedy bezsilnym wstępuje się w życie, nie ma w sobie coś wspólnego z wyczerpaniem i odzyskaną niewinnością duszy, która odpokutowała winy swoje na ziemi i czystsza skruchą i bólem staje przed Bogiem, niż ta, której białości żadne tchnienie pokuty ziemskiej nie skaziło.

Klementyna nie widziała dokoła siebie żadnych śladów szalonej i zmarnowanej przeszłości tego, który tam cicho dogorywał: fotografij kobiecych, tryumfalnie ugrupowanych na honorowem miejscu; innych mniej zrozumiałych, ale podejrzanych trofeów: kwiatów, wstążek i wachlarzy, wśród porozrzucanych tu i owdzie książek, romansów skandalicznej treści, których trucizną poił się Aleksander w chwilach wyczerpania, tak jak poił się zabójczym jadem morfiny.

Wszystko to zatarte było i skąpane w świetle gromnic i w rubinowym blasku lampy płonącej przed litościwem obliczem Zbawiciela. Kapłan olejem świętym znaczył ręce i stopy konającego, dając mu drugi chrzest na nowe życie; krzyżem dotykał sinych ust, które z miłością i pokorą kładły na stopach Chrystusowych ostatni pocałunek skruchy i wieczystego pojednania.

Ustał cichy szept modlitw i żółte światła gromnic pogasły. Spowiednik oddalił się ze słowami pokoju i błogosławieństwa na ustach, siostra wchodziła i wychodziła wnosząc flaszki z lekarstwami i kompresy lodowe, doktorzy wynosili się cichaczem, widząc, że rola ich już się skończyła, a Klementyna siedziała wciąż przy łożu, trzymając tę nawpół martwą dłoń w swojej ręce, z oczyma utkwionemi w te nawpół opuszczone powieki, szepcząc ciche, kojące słowa, które zdawały się jedynie przenikać do wpół odrętwiałej świadomości umierającego.

— Czy pani jesteś jego siostrą? — spytała zakonnica.

— Nie; jestem żoną jego najlepszego przyjaciela, który przybędzie tu niebawem.

Głosem, którego szczególniejszy dźwięk nie zmieniał się jeszcze, Korwin dodał:

— Roland przyjedzie pociągiem o dziesiątej.

A po chwili ze zwykłą swobodą zapytał:

— Otrzymałaś pierścionek?

Klementyna dała mu go dotknąć ręką, a on rozczulony rzekł:

— Jakaś ty dobra, żeś go włożyła i żeś tu przyszła. Ja także byłem dla ciebie źródłem przykrości. Wybacz mi... i *to* także...

To znaczyło jego śmierć, o której mówił tym dziecięcym tonem, jakim zwykł tłómaczyć się ze swoich przewinień większych i mniejszych, obiecując odrazu poprawę.

— Postaram się wyzdrowieć... tak... postaram.

Byłaż to obietnica, czy słodkie złudzenie, które kołysze czasem do snu nieprzespanego? Spokój jego był tak wielki, że Klementyna nie śmiała go nawet zakłócać wybuchem swego żalu, tylko łagodnym tonem przyjacielskiej wymówki pytała:

— Dlaczego, mój biedny Olesiu, dlaczego?

I niezdolna zapanować dłużej nad swojem wzruszeniem, zawołała:

— Więc dlatego odszedłeś? A ja nie domyślałam się, nie umiałam cię zatrzymać.

— Zrobiłaś dla mnie wszystko, co było w twojej mocy — uspokajał ją. — Są rzeczy, które przechodzą ludzką możność. Oddawna byłem zdecydowany... jak mój biedny ojciec...

Więcej nie mógł czy też nie chciał powiedzieć. Zarodek atawistyczny, rozwinięty okolicznościami, myśl, która nie przestawała go prześladować i nagromadzenie trosk i nieszczęść popchnęły go do samobójstwa. Jedna kropla przebrała brzegi wypełnionej goryczą czary. Bo i cóż go już mogło przywiązywać do życia?

Nic zgoła.

Pogrążony w apatyi zupełnego wyczerpania fizycznego, poddawał się cicho i bez skargi staraniom, jakiemi usiłowano przedłużyć jego męki. Usta jego szeptały tylko wyrazy bez związku o synku swoim chrzestnym i o Rolandzie, do którego myśl jego wracała nieustannie.

Roland!... Jego wspomnienie nie przestawało także dręczyć Klementynę, jak zmora. Za godzinę... za pół godziny będzie tutaj... I w myśli wyobrażała sobie jego wejście, ona, która nie była przy łożu śmierci Florencyi i nie wiedziała, jak jej mąż potrafi kochać i płakać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

†

Józefa z Gackiewiczów Paduchowa

wdowa po kupcu i b. radnym m. Lwowa

przeżywszy lat 69, zmarła po długich a ciężkich cierpieniach, opatrzona św. Sakramentami, dnia 20. czerwca 1903.

Pogrzeb odbędzie się dnia 22. czerwca w poniedziałek o godzinie 4-tej po południu, z domu żałoby ul. Akademicka l. 12. na cmentarz Łyczakowski, na który w smutku pogrążeni córka, zięć i wnuki zapraszają krewnych przyjaciół i znajomych.

Lwów, dnia 21 czerwca 1903.

„CONCORDIA" A. Kurkowski ul. Sobieskiego l. 10.

†

Konrad Ludwik Sas de Dekański

b. naczelnik oddziału asekuracyjnego w Banku włościańskim, urzędnik Kasy Chorych król. stoł. miasta Lwowa i uczestnik powstania z roku 1863

po długich cierpieniach opatrzony św. Sakramentami, zmarł dnia 21. czerwca 1903 r., przeżywszy lat 71.

W ciężkim smutku pogrążone dzieci, wnuki i Rodzina, zapraszają krewnych, znajomych i pobożnych chrześcian na obrzęd pogrzebowy, który się odbędzie we wtorek dnia 23. czerwca o godzinie 5-tej po południu z domu żałoby przy ulicy Koralnickiej l. 6. na cmentarz Łyczakowski.

Lwów dnia 22. czerwca 1903.

„CONCORDIA" A. Kurkowski, Lwów, ul. Sobieskiego l.10.

Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.